Nr. 37. Poznań, niedziela 13-go września 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p. Administracya: ul. Wilhelmowska 28. (Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. **Pojedyńczy numer:** w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen. Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

M. W. S. W. F. R. G.

Ciekawy interwiew.

Byłem u hr. Tołstoja, autora „Sonaty Kreutzera“. Oglądanie tego człowieka było się dla mnie oddawna bardzo gorącem życzeniem. Filozof w życiu, wielki człowiek w literaturze, człowiek nie ubiegający się o zaszczyty, nie żądny łask dworskich, kuszony ani sprzedajność lub pochlebstwo, nie przykładający ręki do teroryzmu politycznego, panującego dziś w Europie, wydało mi się już przez to samo czemś niezwykłem. Nic przeto dziwnego, że pragnąłem poznać tego człowieka, dowiedzieć się, co myśli, jak się zapatruje na różne wypadki dziejowego znaczenia, które przesuwają się przed naszemi oczyma, pełne grozy lub treści.

Długo męczyła mnie myśl, w jaki sposób pragnieniu swemu zadość uczynić?

Pewnej chwili zdobyłem się na stanowczość i rozwiązałem tę zagadkę w sposób najpewniejszy: postanowiłem pojechać do niego, przedstawić się jako zwykły turysta i na drodze towarzyskiej gawędy dowiedzieć się o wszystkiem.

Jak postanowiłem, tak się stało. Nie będę nudził nikogo opowiadaniem, jak zbierałem się do podróży, co kładłem do walizki, jak układałem kwestyonaryusz, a przechodzę wprost do rzeczy.

Przyjechałem do wsi, w której hr. Tołstoj zamieszkiwał, około godziny 10-tej rano i wprost udałem się do pałacu, gdyż „ciełowalnik“ w karczmie powiedział mi, że hrabia mieszka „w dworie“. Jak na filozofa, zrzekającego się zbyt głośno wszelkiej próżności światowej, wydało mi się to trochę za — wygodne, ale poszedłem.

Gdym się na ganku, w kolumny greckie strojnym, ukazał, na powitanie moje wyszło dwóch lokajów w białych mesztach ze skórki giemzowej, w białych pończochach, w czarnych krótkich spodeńkach i czarnych frakach ze złoconemi — prawdopodobnie — guzikami.

Podobał mi się wcale taki zakrój na marność światową: — dobra i wyćwiczona służba, chodząca po pokoju bez hałasu.

— Czy pan hrabia w domu? — spytałem.

— Nie, pan hrabia przy zmłockach na toku.

— Ale czy mogę się z nim widzieć?

— O! może pan. Pan hrabia zawsze bardzo chętnie każdego gościa wita u siebie.

— A kiedyż wróci?

Jeden z tych marszałków — dworu naturalnie, — a może dostojnik, dla którego mój język ubogi nie mógł wyszukać wyrazu lepiej malującego jego godność — wyjął zegarek złoty, bardzo piękny remontoir — i rzekł słodko, spojrzawszy nań:

— Za dwie godziny.

Po chwili inny dodał uprzejmie:

— Pan hrabia zawsze wstaje, kładzie się spać i jada wtedy, jak i jego robotnicy.

Dodatek ten nie rozwięzywał jednak zagadnienia, wobec którego stałem.

— Czy mogę tu poczekać na pana hrabiego? — spytałem.

— O, może pan — odrzekł z dyplomatycznym ukłonem starszy według wieku lokaj. Ale pan hrabia jest teraz w stodole i rad będzie bardzo, gdy pan zechce go tam odwiedzić! Proszę się pofatygować!

Powiedziawszy to, odwrócił się do głębi pokojów i krzyknął:

— Mekitka! A, Mekitka!

W sekundę zjawił się na ganku chłopaczek lat czternastu, w spodniach szerokich w czerwonej koszuli, podpasanej wązkim skórzanym paskiem, z czupryną nasuniętą na czoło i obciętą równo dokoła głowy — „w skobki“. Wesoło uśmiechnięta twarz miała łobuzowaty wyraz. Widocznie, że pracą niezbyt się obarczał.

— Zaprowadzisz tego pana do stodoły, do pana hrabiego — rzekł lokaj.

Skinąłem głową ku tym dostojnikom, nieznanym mi bliżej z „charakteru służby“, i w asystencyi Mekitki na tok ruszyłem.

Zabudowania folwarczne o dziesięć minut drogi odległe tylko były od pałacu p. hrabiego.

Było to w końcu sierpnia — więc ciepło jesze, ale już świeżo. Na boisku przed stodołą widać było dwa szeregi zmłocków — może ze dwudziestu, w koszulach rozmaitych jasnych kolorów, wśród których czerwony przeważał, bez czapek, a do uszu moich dolatywał stuk regularnych uderzeń cepów — raz, dwa, trzy, cztery. — raz, dwa, trzy, cztery. W powietrzu, pełnem słońca, migały białe bijaki, połyskując matowem światłem.

Gdyśmy się już zbliżali do boiska, Mekitka trącił mnie łokciem w bok.

— „Barin“ młóci — rzekł z nawpół tajemniczą, a na pół złośliwą miną.

— Gdzie?

— Ot, ten „baradasty“ w czerwonej koszuli i w pasastych spodniach, on na przedzie — widzi pan?

— Widzę.

— Czy to co dnia tak?

Nie. Jeżeli ładna pogoda „barin izwoliat' zabawliat'sia“.

Zbliżyłem się do zmłocków, ale ponieważ wszyscy, ujrzawszy obcego, zawzięciej poczęli machać cepami, bałem się zbliżyć, aby w łeb bijakiem nie dostać. Widziałem, że pan hrabia także wymachiwał dość wprawnie. Wyniosła jego postać miała w sobie dużo elastyczności i siły. Siwa broda, siwe, duże, zwieszone nad oczy brwi świadczyły, że był to człowiek stary.

Kiedy obydwa rzędy rozłożonego żyta zostały omłócone i należało je na drugi bok przewrócić, — młocka ustała.

Hr. Tołstoj oparł się na cepie i odsapywał, — inni przewracali zboże już omłócone na drugą stronę. Zbliżyłem się do niego i przedstawiłem się.

Przełożywszy cep do lewej ręki, prawą podał mi uprzejmie.

— Bardzo rad jestem, gdy łaskawi goście odwiedzają mnie... — rzekł.

— Było to upragnionem mojem życzeniem.

— Lękam się, że się pan rozczaruje.... ja jestem człowiekiem bardzo prostym... nie zasługuję w niczem na to ogólne zainteresowanie, jakiem mnie darzą powszechnie.

— Ależ panie hrabio — prace jego.....

Tołstoj przerwał ostro.

— To wszystko funta kłaków nie warte.

Ręką wskazał robotników, odwracających cepami zboże.

— Oto jest życie.... tu zamknięte wszystko.... trudniej robić dobrze, niż pisać dobrze.

Dotychczas rozmowa nasza obracała się w ogólnikach salonowych — chociaż nie byliśmy w salonie, nie siedzieli na miękkich fotelach — przeciwnie staliśmy w kurzu zmłoc-

ków i pod jasnem błękitnem niebem zbliżającego się południa.

— Panom, co z Europy przyjeżdżacie, — odezwał się hrabia — wydawać się to musi dziwnem, że u nas na kresach barbarzyńskich zboże cepami walą. U was maszyny rżną, wiążą, młócą, wieją — ręce ludzkie kierują tylko pracą; u nas nie można jeszcze tego robić...

Widocznie słowa te wydały mu się niezupełnie wystarczającemi, bo dodał zaraz:

— Za ubodzy jesteśmy... nie mamy pieniędzy na maszyny...

Przestał i natychmiast znowu mówić począł:

— Zresztą — ręką wskazał na budynki — widzi pan... u nas dachy wszędzie ze słomy... potrzebujemy długiej słomy... maszyna łamie, w kłaki wszystko obraca...

Zmłocki zaczęli się szykować do młócenia.

Hrabia ujął mnie pod ramię.

— Przepraszam pana... odejdźmy trochę, ażeby takie barbarzyńskie narzędzie, jak cep, nie dotknęło się przypadkiem głowy Europejczyka.

Uśmiechnąłem się z grzeczności.

— Ja tu panu wykładam zasadę naszego gospodarstwa — zaczął hrabia, gdyśmy na stronę nieco odeszli i prawie we drzwiach stodoły stanęli — a pan zwyczajem wszystkich interwjewerów pragnąłbyś się dowiedzieć czegoś z własnych ust takiego, jak ja, dziwaka o moich doktrynach filozoficznych.

— Od razu muszę rozczarować pana hrabiego, — nie pragnę tego.

Słowa moje zdziwiły hrabiego; dostrzegłem to po ciekawym rzucie na mnie jego małych, żywych, siwych oczu. Nie odpowiedział mi jednak na to, ale do Mekitki, stojącego obok, zwrócił się:

— Pójdźno, przynieś tutaj dwie „ośminy“.

Mekita w jednej chwili przyniósł dwie miary, podobne z kształtu do naszej ćwierci, odwrócił je dnem do góry i tuż przy progu ustawił.

— Usiądźmy panie — rzekł hrabia najnaturalniejszym tonem, zupełnie jak gdyby przedemną stał wygodny fotel — i pogadamy.

Usiedliśmy tedy na odwróconych „ośminach.“

W szczerość i filozofię hrabiego przestałem już wierzyć. Zdawało mi się, że widzę przed sobą jednego z tych ludzi, który wdziałby na siebie dziurawy płaszcz — byle nań patrzano i mówiono o nim.

— No, więc cóż pana sprowadza pośród barbarzyńców? — zapytał, gdyśmy już usiedli.

— Polityka, panie hrabio.

Tołstoj zamyślił się.

— Bardzo ciekawa rzecz... zwłaszcza teraz. Uprzedzić pana wszakże muszę, że ja polityką się nie zajmuję — czyli jak mówią niektórzy: nie bawię się w politykę.

— Temi czasy zaszło wszakże kilka wypadków na pozór drobnych, ale doniosłości pierwszorzędnej.

Hrabia zamyślony, z głową pochyloną słuchał.

— A o jakąż panu politykę chodzi? — zapytał.

— O politykę Rosyi przedewszystkiem.

Tołstoj przerwał mi:

— Czy jest jeszcze inna jaka polityka? zapytał.

Zuchwałemi temi słowami, wypowiedzianemi łagodnie i spokojnie, zamknął mi usta.

— Jeżeli o polityce możemy mówić na seryo, o polityce, która Europy dotyczy — ciągnął hrabia — to dziś żadne z państw europejskich nie ma i nie prowadzi jasnej, świadomej celu polityki — oprócz Rosyi.

— Obudził się niedźwiedź — pomyślałem sobie — wykarmiony cywilizacyą europejską.

Postanowiłem jednak pytać o wszystko, a ile można najmniej z mojemi poglądami zdradzać się. Chodziło mi o to, aby się dowiedzieć co myślą o Rosyi ludzie, których słuchają. Z góry miałem powzięty plan, nie sprzeciwiać się hrabiemu w niczem.

— Austryę hrabia wyklucza... wtrąciłem.

Tołstoj uśmiechnął się. Dostrzegłszy uśmiech, spytałem:

— Hrabia ją zapewne lekceważy?

— Lekceważę?... Nie...

Nagle podniósł głowę i spojrzał na mnie złośliwie.

— Ale któż Austryę bierze na seryo? — rzekł. Ona może zasługuje na szacunek, ale tam, gdzie się liczą, nikt jej przecie w rachubę brać nie może.

— Dla czego?

— Bardzo naturalnie, bo z jej strony nie ma ani jednego czynu politycznego, któryby o żywotności tego państwa świadczył. Mówię o polityce zewnętrznej. Bo wewnętrzna polityka każdego państwa równa się — robieniu porządku w domu. Młoda gospodyni nieraz tak gwałtownie porządki robi, że zanim jednę rzecz na miejscu postawi, to drugą przewróci lub stłucze; stara robi to samo ostrożnie i pomału.

— Dobra charakterystyka — wtrąciłem.

Hr. Tołstoj zdawał się nie słyszeć moich słów i ciągnął dalej:

— Austrya podobną jest do tej staruszki, która przez całe życie zapobiegliwie gromadziła do swego mieszkania różne fatałaszki. Przywiązała się do nich z czasem i zdaje się jej, iż to rzeczy cenne — a to nic nie warte. W domu czuć stęchliznę, zapach ulubionych kotów, które już oddawna przestały myszy łapać i tylko wygrzewają się na słońcu; forma mebli przestarzała i niewygodna, ale jej się zdaje, że to wszystko jest doskonałością niepodlegającą krytyce. Polityka Austryi stosuje się do jej wieku i zębów — jest zbyt miękka. Państwo to da się porównać do ciasta, z którego każdy minister innej formy pierożek ulepi, ale po nadto nic zrobić nie potrafi. Starowina każdym czynem zdaje się mówić: dajcie mi spokój, spać chcę. Przedrzemawszy się, znowu zaczyna krzątać się koło domu i porządków w tem przekonaniu, że jej chata najlepsza na świecie. Pośród państw europejskich ona cieszy się szacunkiem starości i zadowala się tem.

— A trójprzymierze — wtrąciłem, a-

NIECIERPLIWOŚĆ TŁUMU.

NOWELLA

Przez

Villiersa de l'Isle Adama.

Wielka brama Sparty — przyparta z obu stron do muru, niby tarcza do piersi wojownika — rozwartą była szeroko przed wyżyną Taygetu.

Piaszczysty schyłek góry czerwienił się zimnemi blaskami zachodzącego po nad pierwszemi mrozami słońca, odbijając obraz hekatomby, poświęcanej pośród brzemiennego grozą wieczoru.

Tam, w głębi poruszał się tłum, objęty krwawą łuną nocnej gwiazdy. Odblaski żelaza, wozy, ostrza pik, mieniły się w niej świetlanym połyskiem. Jedynie oczy tłumu były ponure; wysyłał on uporczywe i ostre jak miecz wejrzenia ku wierzchołkowi góry, zkąd nadejść miała wieść wielkiej doniosłości.

Pozawczoraj drużyna, złożona z trzystu rycerzy, opuściła gród Heraklesa. Uwieńczeni kwiatami odeszli na gody bojowe. Ci, których oczekiwały brzegi Styksu po raz ostatni przygładzili włosy w świątyni Likurga. Następnie, podnosząc tarcze w górę, uderzyli w nie mieczami, wobec entuzyastycznych oklasków niewiast i zniknęli w promieniach zorzy, śpiewając pieśń Tyrteusza. Teraz zapewne wysokie trawy wąwozu obejmują ich obnażone nogi, jak gdyby ziemia, w której stają obronie, chciała popieścić swych synów przed przyjęciem ich do kochającego łona.

Z rana chrzęst broni przyniesiony przez wiatr i odgłosy okrzyków tryumfalnych zdawały się potwierdzać opowiadania oszalałych z radości pasterzy.

Persowie cofnęli się po dwakroć w sromotnej porażce, pozostawiając dziesięć tysięcy trupów po za sobą. Lokryda widywała już podobne zwycięztwa. Tessalja powstaje, nawet Teby budzą się, rozgrzane przykładem. Ateny wysyłają na pomoc legjony, uzbrajają się pod wodzą Milcyadesa — siedm tysięcy żołnierzy powiększa falangę lacedemońską.

Ale oto nagle pośród hymnów chwały i modłów dziękczynnych w świątyni Dyany, pięciu Eforów, po wysłuchaniu przybyłych świeżo posłańców, spojrzało po sobie trwożnym wzrokiem. Senat wydał natychmiast rozkaz uzbrojenia miasta.

Ponury cień rozproszył całą radość. Nie wierzono już opowiadaniom pasterzy. Radosne wieści zostały w jednej chwili zapomniane, niby proste baśnie dziecinne.

Ramiona augurów, oświetlone płomieniem trójnoga, wznosiły się wysoko, wyzywając potęgi piekielne. Słowa krótkie, urywane, rozchodziły się w przeraźliwym szepcie.

Zawezwano dziewice.

W ich obecności będzie wymawianem imię — zdrajcy. Długie ich szaty przy zejściu ze schodów portyku muskają rozłożonych na ziemi w pijackim szale Ilotów.

Daje się słyszeć wieść okropna.

Nie strzeżone w Focydzie przejście zostało odkryte przed nieprzyjacielem. Ktoś sprzedał ziemię Hellady, ktoś wydał Kserksesowi na pastwę własną rodzicielkę. I wojownicy perscy, na których czołach lśniły się złote szyszaki satrapów, opanowywali boską krainę, deptali niegodnemi stopami matkę tylu bohaterów.

Żegnajcie świątynie, przybytki przodków i wy, święte równiny! Przyjdą tu oni zniewieściali, wybladli, wybierać będą z pośród cór Lacedomonii niewolnico!..

Przerażenie wzmógł widok Taygetu, ujrzanego przy wstąpieniu na obronne wały.

Wicher skowyczał w skalistych czeluściach, jęczał w uginających się z łoskotem jodłach, których nagie gałęzie podobne były do włosów głów, szamotanych agonią.

Gorgona biegała pośród obłoków, a tłum, oblany purpurą pożogi, gromadził się zwartą masą, podziwiając posępną rozpacz ziemi wobec pogróżki niebios.

Nie trzeba było przyspieszać biegu ich krwi motywami oskarżenia... Piekło nienawiści i pomsty w ich piersiach!...

Niecierpliwość, zawiedzione oczekiwania, niepewność co do rozmiarów klęski, potęgują śmiertelny niepokój. Czarną wydaje im się przyszłość, bliską — ostateczna zagłada.

Niebawem pierwsze czoło armii ukaże się na horyzoncie. Niektórym zdaje się, że widzą już na niebie odblaski hełmów perskich rycerzy, a nawet tryumfalny wóz Kserksesa.

Uzbrojeni, z pociskami w ręku, szykują się na obronnych stanowiskach. Dziewice

żeby zaznaczyć czemkolwiek żywotność Austryi.

— Przepraszam pana, trójprzymierze istnieje dla Niemiec. Z chwilą kiedy interesy Niemiec i Rosyi zbliżą się, Austrya pójdzie na zieloną paszę. Dziś trójprzymierze rujnuje Austryę i jej mieszkańców, a przez podtrzymywanie militaryzmu przyczynia się do ukształtowania się odrębnej klasy ludzi, którą w XVI wieku nazwalibyśmy Lisowczykami, w XVIII hajdamakami ulicznymi, a w XIX najodpowiedniejsza dla nich nazwa „oprizników“ Iwana Groźnego. Czy trójprzymierze zasłoni Austryę od Rosyi? Nigdy. Ja mogę panu ręczyć, że kiedy Rosya uderzy na Austryę, jeden pluton Prusaków na pomoc jej nie przyjdzie. Prusy znajdą sto racyi po temu, aby wystawić tylko korpus obserwacyjny na granicy.

— Przecież Włochy będą także obowiązane..

Tak, będą obowiązane patrzeć zdaleka. Zanim nad granicami Austryi stanie armia włoska już Austryi nie będzie, bo i teraz jest ona, prawdę powiedziawszy, nie państwem, lecz nomenklaturą.

— Czy i na Niemcy pan hrabia tak pesymistycznie zapatruje się?

— Na Niemcy — nie. W Niemczech są Niemcy, a w Austryi odrobina tylko Niemców, jak raz tyle, ażeby wystarczyło na ministrów, urzędników i lokajów — rzekł złośliwie — a reszta żydów za Niemców przebranych. Tam prawdziwa nowa Jerozolima! W Wiedniu poprzebierali się za Niemców, w Węgrzech za Węgrów, w Czechach za Czechów, a Galicya jest dla całej Austryi dostarczycielką tego materyału. Boże! to jest dziwoląg jakiś, nie państwo, który posiada dwie ssawki, duży brzuch, a brak mu zupełnie głowy!

— A jednak zwycięstwa polityczne hr. Gołuchowskiego zapewniły temi czasy Austryi bardzo poważne stanowisko.

— Tak. Austrya bardzo się z tego cieszy. Zdaje się jej, że ona czemś jest, a ona jest niczem.

— Więc pan hrabia tych zwycięstw na seryo nie bierze?

Tołstoj brodę gładził i myślał.

— Widzi pan, wszystko na świecie jest względne... Prawda, jaka to głęboka filozofia — dodał złośliwie. — A później zupełnie poważnym tonem rzekł: A, tak, głęboka! Ale... wracam do Austryi. Chce pan zobaczyć jak się objawia u ludzi największa radość i zadowolenie?

— O, to niezawodnie rzecz ciekawa...

Hrabia ciągnął dalej:

— Niech pan naszej wiejskiej dziewczynie podaruje jaką jaskrawą szmatę, kupioną na jarmarku — obaczy pan dopiero, jak ją to ucieszy...

Nie mogłem skombinować rozumownia hrabiego. Hrabia zdaje się domyślał się tego, bo dodał:

— Radość z tego, co się otrzymuje, jest proporcyonalną do wymagań i potrzeb człowieka; im potrzeby są mniejsze, tem radość jest większa. Owe zwycięstwa Austryi są tyle niezawodnie dla niej warte, ile jaskrawa chusteczka za kilka kopiejek dla wiejskiej dziewczyny. W arsenale historyi ona się znajdzie, tak samo jak się znalazły rozkruchy czerepów w muzeach archeologii, ale w życiu są to rzeczy bez znaczenia. Jedna kopiejka z podatku obniżonego więcej warta niż wszystkie zwycięstwa polityczne Austryi. Co państwu po tryumfach, których następstwem jest nędza ludu i zwiększanie armii, czyli sztuczna hodowla darmozjadów.

— Widzę, że pan hrabia bardzo ostro Austryę sądzi.

— Mówię, co myślę...

— Najtrudniejsza rzecz na świecie.

— Szczególnie w państwach konstytucyjnych, gdzie istnieje wolność druku równolegle i w najbliższem sąsiedztwie z wolnością konfiskaty.

(Dokończenie nastąpi).

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Nasi pomocnicy.

Na twierdzenie „Geselligera,“ jakoby w Prusach był tylko jeden język krajowy, język niemiecki, pisze toruński „Przyjaciel“ w artykule pod tyt. „Nasi pomocnicy i krzepiciele“ co następuje:

„Z jednej strony ma „Gasellige“ racyą, bo nie dwa, ale sześć języków krajowych jest w państwie pruskim, a mianowicie niemiecki, polski, litewski, duński, francuski i serbski czyli wendyjski. Urzędowe spisy wyliczają ich nawet ośm, bo z polskiego zrobiły aż trzy: polski, kaszubski i mazurski. Ale tak „Gesellige“ rzeczy tej nie pojmował. Jemu się uroiło, że sam tylko język urzędowy jest w królestwie pruskiem językiem krajowym. Powiedział więc wielkie głupstwo, gdyż na co byłoby prawo o języku urzędowym niemieckim, gdyby innych języków w kraju między ludnością nie było?

„Językiem krajowym nazywa się według zdrowego rozumu ta mowa, w której rozmaici osiadli mieszkańcy tego kraju mówią. Tyle więc bywa w państwie języków krajowych, ile ich się jako ojczystych między stałymi mieszkańcami państwa napotyka.

„Gesellige“ wie to bardzo dobrze, a jeżeli mimo to inaczej napisał, zrobił to w zaślepionem uniesieniu i w chęci upokorzenia nas Polaków, oraz w chęci zawziętej odmówienia nam wszelkich praw dla mowy ojczystej.

„Po niemiecku mówi przysłowie: Blinder Eifer schadet nur, co znaczy po polsku, że ślepa zawziętość szkodę tylko przynosi temu, który się tak unosi.

---

rozpalają ogniska dla przygotowania smoły, weterani, przybrani w zbroje, wyliczają liczbę nieprzyjaciół, których zgładzą przed wydaniem ostatniego tchnienia.

Sparta nie podda się nawet w razie oblężenia! Obliczają ilość żywności, kobietom przykazują bronić się od hańby samobójstwem. Zasięgają rad u dymiących tu i owdzie na ofiarę wnętrzności.

Ponieważ noc ma przejść na wałach w oczekiwaniu spodziewanej zasadzki ze strony persów, Nogakles, kuchmistrz gwardyi, dygnitarz kulinarny, rozpoczął uroczyście przygotowanie pożywienia publicznego.

Stojąc obok szerokiej kadzi, porusza poważnie ciężkim tłokiem kamiennym i mieszając z roztargnieniem ziarna w solonem mleku, spogląda na Tayget wzrokiem ponurym.

Czekają....

Najpotworniejsze zarzuty podnoszą się przeciw walczącym. Rozpacz tłumu nie waha się przed potwarzą, a bracia tych, którzy mieli skazać na wygnanie Arystydesa, Temistoklesa, Milcyadesa, za niepokój odpłacają wściekłym niemal gniewem.

Jedynie zgrzybiałe staruszki potrząsają dumnie głowami. One pewne swoich dzieci, zachowują spokój lwic, którym od piersi odebrano niemowlęta.

Nagła ciemność okrywa niebiosa, a nie są to cienie nocy; nie, to olbrzymi korowód kruków wyłania się z głębin północy, przelatuje po nad Spartą z okrzykami okrutnej radości, zalega całą przestrzeń sasłania światłość, czepia się wszystkich gałęzi świętych drzew, otaczających szczyty Taygetu. Tu złowieszcze ptaki zasiadają nieruchomie z dziobem zwróconym ku północy i z roziskrzonym wzrokiem.

Zagrzmiały niby pioruny setki przekleństw, miotanych w stronę drapieżników, a za przekleństwami poszybował grad kamieni....

Nic to nie pomaga!

Zwiastuny nieszczęścia pozostają nieruchomie na gałęziach, jak gdyby niebiańska woń poległych bohaterów przykuwała ich do miejsca; nie opuszczają gałęzi, uginających się pod ich ciężarem.

Matki zadrżały z przerażenia na ów widok.

Teraz niepokój szerzy się pośród dziewic. Rozdano im poświęcone miecze, od wieków zawieszone we wnętrzu świątyń.

— Dla kogo te miecze? — pytają. A ich łagodne spojrzenia przechodzą z blasków migocących ostrzy, na zimne oczy tych, którzy je podają. Uśmiechają się do dziewic rycerze — pozostawiając je w niepewności co do ofiar. — Dowiedzą się w ostatniej chwili, broń ma służyć do pszeszycia ich czystego łona....

Nagle dzieci wydały głuchy okrzyk. Oczy ich dostrzegły jakiś punkcik w oddali.

Tam, na zaróżowionym jeszcze szczycie opustoszałej góry, jakiś człowiek, gnany wichrem, zbiegał z wysokości, pędząc w stronę miasta.

Wszystkie wejrzenia kierują się ku niemu.

Nadbiega z głową opuszczoną, z ręką opartą o kij gałęzisty — widocznie w drodze gwoli bezpieczeństwa ułamany: — kij ten ułatwiał mu drogę ku bramom Sparty.

W chwili, gdy przestępuje oświetloną ostatniemi promieniami słońca pochyłość, oczom tłumu ukazuje się płaszcz, zarzucony aż do stóp... Człowiek musiał upadać w drodze, bo płaszcz jego, zarówno jak kij, obryzgane błotem. Nie żołnierz to pewnie, bo nie połyskuje na nim tarcza.

Głuche milczenie wita zbliżające się zjawisko.

Z jakiegoż przybytku grozy i zniszczenia uciekał on w sposób podobny?

Zwiastun to chyba hańby, upadku, spodlenia!

— Podobny bieg nie jest godnym mężczyzny, rycerza! Czego żąda?

— Schronienia? A zatem ściganym być musi! — Przez kogo? — Przez nieprzyjaciela? — Już, już!...

Uragan wściekłości i wstydu targa ich rozbrykaną myślą, zapominają o obecności dziewic, których nagła bladość przechodzi barwą lilje.

Nazwisko rzucone śród ogólnego przerażenia i ohydy, przenika sykiem złowieszczym powietrze.

To spartanin! Jeden z trzystu!...

Poznano go. On! To był on! Wojownik, który zrzucił zbroję!... Ale czemu? Czy w popłochu ucieczki? Uciekano więc? A inni? Czy i oni biegli za nim, owi „nieustraszenia?...“

Pot śmiertelnego strachu oblewa czoło, drgawki konwulsyjnego niepokoju wykrzywiają twarze.

„Tak sie dzieje i „Geselligerowi.“

„Chce on tem dobić Polaków i polszczyznę, a robi tak jak ten, który chce uśpić człowieka świeceniem mu jaskrawem w oczy, albo kłóciem szydłem w boki. Te jego podżegania, kłócia i zaprzeczania właśnie Polaków budzą, bo ich oburzają i do bronienia swego zmuszają.

„Gdyby „Gesellige“ nie był takim zaciekłym na nas, jak jest sam z siebie, trzebaby go takim zrobić. Bo jak głód i zimno zmuszają ludzi do kręcenia się, starania i pracy, a przez to do wszelakiego postępu, tak też te zaczepki „Geselligerowe“ i jemu podobnych poruszają, budzą i do obrony swego zmuszają nas Polaków.

„Teraz właśnie występują przyjaciele „Geselligera“ przeciw polskiej pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła.“ Możnaby z wdzięczności za budzenie i popychanie nas do obrony własnej bardzo trafnie i słusznie teraz tak śpiewać:

Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki nas budzicie,
Coby pamięć uroniła,
Wy nam przypomnicie.

Przejdźcie Wisłę, przejdźcie Wartę,
Krzyczcie: Polski nie ma.
Takie krzyki śmiechu warte,
Boć was w strachu trzyma.

„Tak się to w co innego obraca każda robota na cudzą krzywdę godząca, a to wiedział już dawno i powiedział wielki poeta niemiecki Goethe, że złe złego pragnie, ale na swoje potępienie dobre tam sprawia. Nie jeden z nas jużby może zaniedbał, opuścił i wynarodowił się, lecz Bóg dał zaślepieńców po przeciwnej stronie, a ci tego nie dopuszczą. Tacy sprawiają nie jedną boleść, aleć w boleści odradza się pokolenie ludzkie, a więc i pokolenie polskie, duch w niem i żywotność narodu.

„A teraz z tego nauka dla każdego z nas! Jeżeli mówią, że drugiego języka krajowego, prócz niemieckiego u nas nie ma, to mówią, że tu Polaków nie ma. Mówią właściwie, że i ciebie, bracie Polaku nie ma.

„Jakie to głupie i śmieszne, sam czujesz, pókiś żywy.

„Więc bądź żywy, nie tylko jako istota żywa, ale i jako Polak. Broń swego, cudzego nie pragnąc. Staraj się, żeby Polaków nie zabrakło, więc dzieci swoje na dobrych Polaków chowaj. Wpajaj im w serce, że są Polakami. Ucz je po polsku w domu, jak tam umiesz, a dopilnuj, żeby w domu tylko po polsku mówiły.

„W szkole pozwalają im mówić tylko po niemiecku. Więc szkoła od niemieckiej, dom od polskiej mowy! Niech się uczą dobrze po niemiecku w szkole, a jeszcze lepiej po polsku w domu.

„W szkole nakazały niemiecką naukę przepisy ludzkie. Naukę polską w domu nakazała twoja polska krew, polskie sumienie, polska miłość, polskie potrzeby naszej duszy, czyli prawo z natury, a raczej przez Boga dane.“

* * *

Z kresów szląskich.

Cieszyński korespondent „Kraju“ petersburskiego tak opisuje zebranie przedwyborcze w Jabłonkowie, na Szląsku austryackim:

„Wobec przewagi niemców w Księstwie cieszyńskiem, pomimo liczebnej ich słabości, wobec nie przebierającej w środkach sprężystości politycznej t. zw. hazowców, t. j. zwolenników wrogiego Polakom programu dr. Haase'go, superintendenta ewangelickiego, przedstawiciele rozmaitych grup polskich postanowili przy nadchodzących wyborach wytężyć wszystkie siły, żeby nietylko utrzymać się na nielicznych i mozolnie zdobytych posterunkach politycznych, ale też postawić nową kandydaturę, mianowicie z gmin miejskich. Wybory do sejmu krajowego, jako też jesienne wybory do rady państwa, z dodatkową kurją piątą, przedstawiają obszerne pola do rywalizacyi dla dwóch, a nawet trzech narodowości szlązkich. Dwie z nich zresztą, a mianowicie Polacy i Czesi zawarli przymierze tymczasowe dla złamania wspólnego i potężnego wroga. Nic dziwnego więc, że wśród takich okoliczności bardzo poważny nastrój panował na zgromadzeniu jabłonkowskiem.

Kiedy na wniosek pastora Michejdy dziekan i proboszcz miejscowy katolicki, ks. Kołodziej, obrany został przewodniczącym, msgr. Swieży, stanąwszy przy nim, rozpoczął sprawozdanie z czynności swych na sejmie, potrącając przytem i o działalność w parlamencie. Więc mówił o zabiegach swych w zdobywaniu rozmaitych zapomóg dla polskiej części Szlązka, o wnioskach, tyczących się naprawy dróg, regulacyi rzek, racyonalnego rozkładu podatków i ciężarów gminnych, polepszenia bytu nauczycieli wiejskich, słowem, o sprawach najważniejszych i najdostępniejszych dla zebranych tu ludzi. Na zakończenie jednak, załatwiwszy się z relacyą faktyczną, szan. poseł przeszedł do materyi ogólniejszej i, opierając się na boskim, przyrodzonym początku miłości do ziemi macierzystej i języka, zachęcał gorliwie zgromadzonych do wytrwania w nadchodzącej walce wyborczej przy hasłach narodowych, do jedności i przezorności, niezbędnych, kiedy się ma do czynienia z tak silnym i przebiegłym wrogiem.

W sali zapełnionej zbitym tłumem mieszczan i górali, panowała cisza. W skupieniu słuchano długiej mowy, za to w końcu rozległy się oklaski, podziękowania i pojedyńcze okrzyki: „Nie damy się, nie damy“.

P. Jerzy Cieńciała, zająwszy miejsce swego kolegi, począł mówić z początku wytwornym językiem literackim, wkrótce jednak potem, zastosowując się do swego audytoryum, przeszedł do mowy potocznej, pełnej prowincyonalizmów i starożytnych form polskich, najzrozumialszej dla Szlązaków. Zarówno treść, jak i układ przemówienia, a nawet frazesy i dowcipy pojedyńcze zdradzały nietylko wytrawnego polityka, ale też i bystrego psychologa. Główny nacisk kładł poseł na gospodarkę sejmu i Wydziału krajo-

---

Widok tego człowieka równa się widokowi całej porażki.

Ach! I czemuż dłużej ukrywać przed sobą ogrom nieszczęścia? Uciekli! Wszyscy!.. Biegną za nim! Ukażą się za chwilę... dopędzani przez perskich wojowników...

Przykładając rękę do oczu, kuchmistrz woła, iż spostrzega ich już w mrocznej oddali....

Rozdzierający jęk przedziera się przez szemrania tłumów. Wychodzi on z piersi starca i wyniosłej postaci niewieściej. Oboje ukrywają twarze w dłoniach, wymawiając w osłupieniu okropne wyrazy:

Mój syn!

Uragan przekleństw zakotłował! Pięści wznoszą się groźnie ku dezerterowi. Wołają, choć wiedzą, że głos nie przedrze dzielącej ich od niego odległości.

— Mylisz się „bohaterze“... Nie tu plac bitwy!

— Nie biegnij tak prędko! Oszczędzaj swe cenne siły!...

— Czy persowie grubo płacą za tarcze i miecze?

— Baczność! Prochy Pelopsa, Heraklesa, Polluksa, pod twemi niegodnemi stopy. Przekleństwo tobie! z grobu wyprowadzisz zdjętych zgorszeniem przodków....

— Merkury użyczył ci swych skrzydeł. Na Styksa! zyskałbyś pierwszą nagrodę na Olympiadach!

Żołnierz, nic nie słysząc, biegł zda się bez tchu w stronę miasta.

A ponieważ błogi spokój zdawał się spoczywać na jego twarzy, ironiczne zaczepki zmieniły się w grad przekleństw najzjadliwszych.

Zdawało się, że z ust tłumu z sykiem wybiegały najwstrętniejsze gady. Dziewice słuchały nieznanych obelg z przerażeniem.

A kapłani:

— Nikczemniku, obryzgany błotem!... Tyś nie całował swej ziemi świętej, aleś ją gryzł!..

Zbliża się ku bramie.

— Ach, na potęgi piekielne. Nie wejdziesz!

Tysiące ramion wzniosło się ku górze.

— Precz. — Śmierć cię czeka! — Albo ruszaj precz! Nie chcemy twej krwi niegodnej na naszej ziemi.

— Do boju! Powracaj!...

— Wzdrygnij się na myśl o duchach bohaterów, które na ciebie spoglądają.

— Persowie dadzą ci wieńce i liry. Spiesz urozmaicić ich festyny, niewolniku!

Po tych słowach dziewice Lacedemonii pochyliły blade czoła i ściskając w ręku miecze, noszone przez królów wolnych i potężnych, wylewały w cichości łzy żalu i upokorzenia.

Oblewając bohaterskiemi łzami rękojeści szpad, przyciskały do serca zabójcze narzędzia. Teraz zrozumiały ich przeznaczenie i przygotowywały się na poniesienie śmierci na ołtarzu niewinności

Nagle jedna z nich chwiejąca się i blada przeszła na skraj wału; usunięto się zewsząd dla utorowania jej drogi.

Była to oblubienica, przyszła małżonka zbiega.

— Nie patrz tam... Semeis — upominały towarzyszki.

Ale ona z groźnem jak piorun wejrzeniem podniosła z ziemi kamień i rzuciła nim w nikczemnika.

Kamień trafił w skroń, wyprowadzając falę krwi na blade czoło człowieka, który zatrzymał się i podniósł wzrok do góry. Dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Głowa wzniesiona w górę nieludzkim niemal wysiłkiem, pochyliła się ku piersi.

Zdawał się szamotać w mękach agonii.

Dzieci spoglądały na niego z szeroko rozwartemi oczyma, matki szeptały coś z cicha, ukazując co chwila chylącą się ku ziemi postać.

Majestatyczny i wojowniczy kucharz przerwał swoją pracę i oderwał się od olbrzymiej warząchwi. Coś w rodzaju świętego gniewu zniewoliło go do zapomnienia o obowiązkach zawodowych. Oddalił się od kadzi i poszedł na brzeg wału. Tu skupiając wszystkie siły i nadymając policzki, weteran splunął w stronę zbiega.

A wicher przechodzący poniósł ślinę oburzenia na czoło nędznika.

Zabrzmiał chór pochwalny, łączący się w jeden akord uznania dla energicznego objawu publicznej wzgardy.

Byli pomszczeni.

Oparty w zadumie o kij żołnierz, spoglądał wciąż na otwarte bramy miasta..

Nagle na znak wodza, ciężka brama zawarła ze złowieszczym zgrzytem swe wrota. Przed tą widomą zaporą, która wydalała go na wieki z rodzinnego miasta, zbieg padł na ziemię, z pobladłą nagle twarzą trupa.

wego w Opawie, w których ogromna większość niemiecko-liberalna umie doskonale chodzić około swoich interesów, skierowując swe dobrodziejstwa w formie ulg i ulepszeń rozmaitych, jako też sum pieniężnych na opawską część Szlązka i pozostawiając nieproporcyonalnie małe resztki księstwu cieszyńskiemu, zamieszkałemu przez lud polski.

Małe arkusiki, pełne danych statystycznych, poświadczały za każdą razą twierdzenia sprawozdawcy. W dalszym ciągu, jako prezes Towarzystwa rolniczego, nawoływał on energicznie rolników do zawiązywania kółek i spółek, do zaprowadzania gospodarstw mlecznych, dających gospodarzom szlązkim ogromne zyski, do zasadzania lasów na gołych wirchach, będących w ich posiadaniu, a przedewszystkiem do solidarności i zrozumienia interesu wspólnego. Pod tym względem stawiał im za wzór solidarność i organizacyę robotników socyalistycznych, osięgających, dzięki im, rozmaite zwycięztwa. Huczne oklaski były odpowiedzią na przemówienie p. Cieńciały i nadchodziła kolej interpelacyi. Zaledwie jednak podniósł się znany patryota, adwokat Kreisel, żeby się zwrócić z podziękowaniem i pytaniem do posłów, gdy przewodniczący obwieścił zgromadzonym, że tylko co przybyłe do Jabłonkowa wojsko musi się rozkwaterować i rozlokowuje się w browarze, że zatem niema czasu na wypełnienie całego programu. Pozostaje mu więc zapytać tylko wyborców, czy wyrażają oni v o t u m ufności posłom dotychczasowym i czy życzą sobie postawić ich kandydatury na wybory obecne? Ogromne ożywienie zapanowało po tych słowach wśród tłumu: v o t u m zaufania udzielono bez chwili namysłu i bez namysłu też zgodzono się na kandydatury ks. Swieżego i p. Cieńciały.

Uczestnicy zgromadzenia, niezbyt zadowoleni z przedwczesnego końca, rozpierzchli się w różne strony, oglądali skromny lokal czytelni z szafą książek, zebranych ze stron różnych i z parą polskich litografii, a nawet z miniatorową scenką dla polskich przedstawień amatorskich. Większość jednak podążyła ku ogródkowi, pełnemu już wyniosłych górali, przypominających strojem i typem górali tatrzańskich. Sciągłe twarze, suche nosy, pyszne, charakterystyczne głowy z długiemi włosami, przystrzyżonemi na czole, które im nadają jakiś średniowieczny charakter.

Posłowie gawędzą z wyborcami włościańskimi. My przysiadamy się do stołu zajętego przez nauczycieli wiejskich, „wychowawców pokoleń narodowych“, i przekonywamy się po chwili, że niektórzy z tych panów, chociaż polacy z języka, duchem właściwie i wszelkiemi nadziejami przebywają bardzo daleko od dzisiejszego otoczenia, wierzą w potęgę Haasego i w myśl jego programu skupiają się przy osobnym kandydacie na posła (nauczycielu Szugocie), spodziewając się w ten sposób polepszenia warunków swych materyalnych. Zręcznie zastosowana zasada: „divide et impera“ wydała już i w tym wypadku zwykłe swoje owoce. Tymczasem ironiczne uwagi o Galicyi, o jej stanie nauczycielskim, „składającym się z szewców i rzeźników“, stanowiły główny przedmiot rozmowy niektórych z tych panów przy butelkach ze smacznem jabłonkowskiem piwem. Na szczęście nie wszyscy są tacy; dość wspomnieć, że jeden z najszczerszych patryotów, popularny i pełen uczucia patryota, p. Kubisz, jest także nauczycielem w Gnojniku.“

— *ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

Zofia Kowalewska.*)

przez

Laurę Marholm.

(Studyum psychologiczne.)

I.

Fizyognomia czasu objawia nam kiedy niekiedy ukryty jakiś rys, który uwidocznia się nie skutkiem bystrości spostrzegacza lub badań krytycznych, lecz sam z siebie bezpośrednio, bezwzględnie, bez zastrzeżeń. Ukazuje się nam natenczas oblicze napiętnowane dłonią śmierci, wyczerpane cierpieniem, duszy jednakże, która w ten sposób oddaje swoje życie wewnętrzne we władzę najgłębszych dociekań psychologicznych, nie zobaczymy już nigdy. Jest to pozdrowienie umarłych, którzy żyją i wiecznie żyć będą w nowych pokoleniach, aby znowu na te same umrzeć cierpienia.

Tak po wsze czasy objawiali się mężczyźni. Ze świata kobiet objawienia podobne zstępują dopiero teraz, na schyłku naszego znużonego stulecia. I najprzedziwniejszym znakiem zbliżającego się świtu jest, że kobieta zaczyna uświadamiać sobie swoją istotę niewieścią i powiedzieć umie, czem jest, czego chce, do czego tęskni i z jakich powodów zamiera. Poznanie to opłaca dziś jeszcze śmiercią.

Objawieniem takiem był dziennik Maryi Baszkircew, książka, którą długa, szeroka fala sympatyi poniosła przez całą Eu-

*) Posłuszni życzeniom czytelników naszych podajemy znakomite studyum Laury Marholm o autorce drukowanej w „Przeglądzie Poznańskim“ „Nihilistki“. Frzyp. Red.

W tejże chwili słońce skryło się po za obłoki. Kruki rzuciły się żarłoczne na dogorywającego.

Przyklaskiwano im teraz, a ich zbrodniczy korowód zasłaniał przestępcę przed zniewagami ludzkiego tłumu.

A później przyszła rosa wieczorna i uwolniła z pyłu szaty jego.

Nad ranem z człowieka tego nie pozostało nic, krom porozrzucanych kości....

W ten sposób umarł — z duszą upojoną jedyną chwałą, której zazdroszczą nawet bogowie — z oczyma zamkniętemi nabożnie z obawy, aby widok rzeczywistości nie skalał żywionego w głębi serca ideału Sparty, — rycerz wysłany przez *trzystu* na zwiastuna wiekopomnego bohaterstwa...

W ten sposób zginął rycerz za krew przelaną, za śmiertelne rany, obrany posłem chwały bojowników, którzy rzucając do wód Termipolu tarczę i miecz jego, chcieli, aby przed wydaniem ostatniego tchnienia napełnił ziemię spartańską odgłosami męczeństwa podniosłego.

W ten sposób zginął, znieważony przez tych, za których krew przelewał — *wysłannik Leonidasa.*

K O N I E C.

Zaczątki powstania 1863 roku

na Podlasiu i na Litwie.

(*Ze wspomnień b. naczelnika oddziału.*)

(Ciąg dalszy).

Na alarm zbiegli się do mnie wszyscy kanonierzy. Ci nie zdradzili i przystali do nas... Wtedy spostrzegłem, że choć kos na probostwie było dosyć, jednak broni palnej mieliśmy wszystkiego jedenaście sztuk: siedm dubeltówek i cztery pojedynki. Ja jeden miałem rewolwer belgijski i sztylet..

Siły nasze były nierówne, bym się odważył uderzyć na rynek i czekam więc do 12-tej na posiłki. lecz 12-ta wybiła a nikt się nie zjawił. Spóźnili się — myślę — coś dziwnego? Toć to nie żołnierz, znający komendę, ten i ów chciał się pożegnać z rodziną — może na zawsze... Lecz i południe przeszło, a posiłków jak niema, tak niema. Wysyłam więc trzy extrapoczty z rozkazami. Wojska na rynku przepuszczają je... Rozkazałem by oddziały pospieszyły i skierowały się z Janowa do Białej. Tam miałem zamiar je spotkać, jeśli mi się uda wyjść z miasta. Przeczekałem jeszcze do godziny pierwszej — bezskutecznie. Trzeba było więc coś stanowczego przedsięwziąć. Licząc na popłoch między wojskiem rosyjskiem, jaki powstanie gdy nas zobaczą, wyciągnąłem linię moich kosynierów, i jednego kanoniera ustawiłem na brzegu z kosą i zawołałem: „Przewódź!“ Pójdziemy przez rynek, nie zaczepiając wojska, zaczem się opamiętają, przejdziemy miasto w kierunku Janowa i tam spotkamy swoich, z którymi, jeśli będzie można wrócimy do miasta.

Sam zaś, mając za sobą jedenastu strzelców i wznosząc rewolwer w górę, zawołałem: Bez mego rozkazu ani jednego strzału.. Bracia! Naprzód! W imię Boże!

Tak wyszliśmy na rynek... Stał tam gen. Mamajew z całą swoją, dziesięć razy większą siłą, z ośmiu armatami 400 karabinami i stu lancami!!

Przechodzimy o 30 kroków zdala przed frontem wojsk rosyjskich — głuche milczenie, słychać tylko odgłos naszych kroków miarowych. Tak przeszliśmy ulicę Janowską do skraju miasta...

Wtedy dopiero Mamajew, straciwszy nas z oczu opamiętał się i wysłał za nami kozaków, którzy z g i k i e m swym rzucili się na nas, lecz już byliśmy siebie pewni. Jedno: stój! na cel! i kozacy poszli w rozsypkę. Znowu: naprzód chłopcy! Nie strzelać, bo szkoda prochu! I znów poszliśmy dalej.... Tak nas kozactwo przeprowadziło 5 wiorst po drodze Janowskiej do wsi Rozkoszy, nie zrobiwszy nam strzałami szkody. Tu spotkałem oba oddziały: Rozwadowskiego z Janowa i Wolanina z pod Łosic, ludzi ze trzystu razem. Rozbijamy tu obóz — rozpalamy ognie, rozstawiamy czaty i czekamy dnia białego, by oddział jako tako uporządkować. Wojska rosyjskie za nami nie poszły, tak,

ropę i po za jej krańce. Gdziekolwiek się ukazała, rzucała zarzewie w serca kobiet, które płonęło i płonęło. Większa zaś część kobiet nie wiedziała nawet, co się w nich pali. Lecz czytały tę książkę z dziwnem, bolesnem upojeniem i w każdej z tych kartek, pełnych żaru, energii, łez i tęsknoty poznawały siebie, częstokroć nie wiedząc, dlaczego jest podobieństwo między niemi a autorką dziennika i na czem ono polega.

Dwudziestoczteroletnia Marya Baszkircew nie wyczerpała się ciężką, zewnętrzną walką, w której córki rodzin mieszczańskich tracą zazwyczaj młodość, odporność, świeżość i chęć do życia. Na drodze swojej spotykała tylko przeszkody, związane z tradycyą, która była drugą jej naturą. Otoczona była atmosferą wieku, ta przenikała ją do głębi, utworzyła własny jej widnokrąg, o który jednak otarło się i rozbiło jakieś coś w jej wnętrzu. Posiadała wszystko, co przyczynić się może do najwyższego rozwoju duchowego, psychicznego i fizycznego życia, wszystkie warunki, których brak tysiącom spragnionych ruchu, a duszących się w ciasnocie kobiet. Mimo to nie przeżyła życia i z każdej strony jej pamiętnika wieje rozpacz, rozlega się wołanie, że nic nie miała; że w wiecznej pustce zawsze była sama; że marła z głodu, podczas gdy stół życia nakryty był dla wszystkich; że stała z wyciągniętemi rękoma, żadnego nie otrzymując daru; że mijały młodość i zdrowie; otwierał się grób, coraz szerszy, i że zejść musiała do niego, nie mając za sobą nic, prócz pracy, wysiłków i męki, cierpliwości czekania i tej głupiej, pustej sławy, dającej kamienie zamiast chleba...

Zaś niezaspokojone i niemogące znaleźć zaspokojenia dusze kobiece owego czasu poznały w pamiętniku Maryi Baszkircew własne swoje odbicie, i książka ta stała się dla nich tajemną niejako biblią, w której czytały kładąc się i wstając.

Minęło kilka lat i ukazała się znowu taka spowiedź kobiety, napisana nie przez nią samą, lecz na podstawie szczerych wyznań i długoletniej znajomości, ułożona przez jej przyjaciółkę. Książka ta nosi tytuł: „Zofia Kowalewska. Osobiste moje z nią stosunki i to, co mi o sobie mówiła.“ Autorką tego utworu jest Anna Karolina Eggren-Leffler.

Spowiedź Maryi Baszkircew i wyznania Zofii Kowalewskiej przedziwne wykazują podobieństwo pod względem ich wewnętrznego, osobistego życia, temperamentu i losów. Obie pochodzą ze starych, arystokratycznych, bogatych rodzin, są genialne, od dzieciństwa mają możność rozwijania przyrodzonych darów i uzdolnień, są wreszcie istotami wyższemi, pierwotnemi dziećmi natury, w których jest bezmiar czaru, świeżości i dumnej samowoli. Pod każdym tedy względem należą do wybranek szczęścia.. a jednak... Jednak obie te wyjątkowe kobiety miały w sobie niezaspokojone tęsknoty, wskutek których umarły. I cóż to za dziwny znak czasu?

II.

Historyę życia Zofii Kowalewskiej czyta się jak zajmującą, romantycznemi przygodami aż nadto naszpikowaną powieść. Takiem jest życie. Wybranych obdarza pełnemi dłońmi i pełnemi dłońmi zabiera im przedmioty większej wartości, niżli te, które im dało.

Mając lat osiemnaście, była już panią swego losu. Wyszła za mąż podług własnej woli, kazała mężowi towarzyszyć sobie do Heidelbergu, gdzie oboje zapisali się na uniwersytet, następnie kazała się wieźć do Berlina, gdzie przez cztery lata zgłębiała matematykę pod kierunkiem Weierstrassa. Mieszkała z przyjaciółką, kształcącą się, jak i ona, z mężem spotyka się tylko, kiedy niekiedy, na wspólnych przechadzkach. Małżeństwo jej bowiem z Waldemarem Kowalewskim, późniejszym profesorem paleontologii na uniwersytecie moskiewskim, było związkiem pozornym, ta zaś dziwna okoliczność wprowadza nas odrazu do samego ośrodku jej osobowości.

Kowalewska nie kochała męża, w pierwszej młodości swojej w ogóle do niczego tak mało, jak do miłości, nie była usposobioną. Miała jakieś ogromne niejasne pragnienie, będące czemś więcej aniżeli pragnieniem wiedzy, które jednak pod przewagą nadzwyczajnego talentu, w niedoświadczonej, na pół dziecinnej jej duszy, taką przybrało formę. Kiedy Zofia Krukowska, córka generała, pana na Palibinie, miała lat szesnaście, drzemały w niej już zdolności wielkiego matematyka i wielkiej pisarki. O talencie swoim do matematyki wiedziała, o uzdolnieniu literackiem nie zdawała sobie jeszcze sprawy. Talent ten bowiem z natury swojej budzonym bywa w kobiecie dopiero przez życie. Istota jej była jakby ze stali i ognia, co u kobiet słowiańskich zdarza się częściej, aniżeli u innych ras europejskich. Posiadała też owo dziwne, niepokojące przeczucie krótkości życia, dzięki któremu i Marya Baszkircew w przeciągu kilku lat dokonała rzeczy, na jakie inni potrzebowaliby całego czasu swego trwania. Obie te kobiety uświadomiły sobie przedewszystkiem to, że nie mają czasu do stracenia. Kilka miesięcy zimowych, spędzonych w Petersburgu, postanowiło o losie Zofii i jej siostry starszej, Anny. Młode, spragnione wiedzy i samodzielności dziewczęta chwytały się podówczas nieraz pozornego małżeństwa, jako środka, mogącego je wyzwolić z pod władzy rodziców.

We wszystkich sferach panowała niezmierna, niema opozycya między pokoleniem starszem a młodszem. Panna chcąca wyjechać na studya za granicę, zawierała pozorne małżeństwo z wtajemniczonym w stosunki młodym człowiekiem i otrzymywała w ten sposób od niedomyślających się niczego rodziców pozwolenie na wyjazd. Z podróży poślubnej robiła się naukowa, i młoda para rozłączała się zazwyczaj bez wszelkich do siebie roszczeń, aby czerpać wiedzę z odmiennych krynic. Siostra Zofii, posiadająca wybitny talent literacki, którego ojciec nie pozwalał jej uprawiać, w ten właśnie sposób chciała wydostać się z domu. Jednak że Woldemar Kowalewski, któremu odpowiednią uczyniła propozycyę, wolał Zofię.

że mogliśmy do rana pozostać w Rozkoszy, Ztąd przeszedłem na szosę z Biały do Brześcia idącej ku Zalesiu, chcąc się spotkać z Kazimierzem Bugusławskim, by się dowiedzieć, co się na innych punktach zrobiło. Gdyśmy stanęli na szosie pod Zalesiem, postanowiłem zburzyć most rzucony przez rzekę Krznę i przez błota, by utrudnić Rosyanom komunikacyę między Brześciem a Białą. Tu ledwieśmy się zatrzymali, nadjechał z Brześcia powóz pocztowy. Siedział w nim naczelnik biura Namiestnika Królestwa Czerkasów. Był to pierwszy Rosyanin, co wpadł w nasze ręce.... Byłem pod wrażeniem rozdraźnienia, i nieudanego początku powstania. Na zapytanie: kto jest? kłamie, zasłaniając się nazwiskiem Wiszniewskiego. Ręka mi zadrżała, mimo woli chwyciłem za rewolwer, wypaliłem i — Czerkasów padł. Zarzucono mi, żem tak uczynił sam, a nie kazałem go rozstrzelać.... Na to mam jedyną odpowiedź, że miałem lat 24 i byłem żądny krwi nieprzyjacielskiej.... Czerkasów wiózł ważne papiery do Warszawy, rozkazy i rozporządzenia co do całej branki, gdzie i jak miano rozlokować rekrutów, których ogólna liczba określoną była na 25 tysięcy.

Trupa Czerkasowa, wraz z zabranemi przy nim papierami tymże powozem odesłałem do Warszawy.

VII.

Rozłożywszy się obozem pod Zalesiem, pozostawiłem naszych pod dowództwem Wolanina, a sam w kilkanaście koni udałem się do zaścianków Tuczna, Wiski i Huszcza, by się dowiedzieć, co się tam zrobiło i by ztamtąd zabrać ludzi. Przybyłem do Tuczny, gdzie zastałem Nęckiego, który w nocy uderzył na Kodeń. Rosyanie byli nieprzygotowani. Wystrzałem z pistoletu powalił żołnierza na odwachu i uderzył w bęben na alarm. Szlachta rzuciła się z kosą na postój i zdobyła odwach. Rosyanie rozbiegli się ze swym komendantem tak, iż Nęcki zdobywszy Kodeń, zabrał ze 300 karabinów, wprawdzie starych, przerobionych ze skałkowych, lecz zawsze z bagnetami. Więc była już i broń palna, mnóstwo gotowych ładunków i pistonów, co było najważniejszem, wziął przytem do niewoli 80 żołnierzy, których przeprowadził do Tuczny. Radość moja była wielką, gdyż to mogło dodać nowej otuchy naszym. Zebrawszy szlachtę, rozkazałem jej gotować się do wymarszu, i sam pocwałowałem do Huszczy, głównego zaścianka, który miał za zadanie uderzyć na Łomazy. Wiedziałem już, że i tam się choć w części udało. Huszcza — jest to długi na parę wiorst zaścianek, po jednej jego stronie stoją domy mieszkalne, po drugiej zabudowania gospodarcze.

Gdym wjechał do zaścianka, przedstawił mi się widok następujący: Przy każdym domu, stosownie do tego, ilu ludzi zeń szło do powstania, stały kosy oparte o ściany domu. Była to ulica kos! Przebiegłem całą długość Huszczy do kościoła i probostwa, a za mną wszyscy, porwawszy za kosy podążyli. Na probostwie zastałem trochę ludzi, mieszczan z Łomaz: Czapińskiego i Szaniawskiego, obywatela z Krasówki, który, na hasło powstania, zebrał czeladź dworską i ruszył ze szlachtą na Łomazy. Sam energiczny, odważny i rzutki — mimo lat 50 — był duszą napadu na Łomazy wraz z księdzem Nawrockim. Rosyanie i tu nieprzygotowani, niezdążyli osiodłać koni, a kiedy nasi z kosami rzucili się na nich, uciekli do Międzyrzeca, pozostawiwszy w rękach naszych wachmistrza, trzech żołnierzy, siodeł na 70 koni, pałaszy i lanc mnóstwo.

Tak więc szlachta nasza dzielnie się owej nocy spisała. Gdyby była broń i choć setny między nią obeznany z taktyką wojenną, by owe masy od razu zorganizować, to — mówię to po latach przeszło 30, gdy już zapał minął i chłodno człowiek na przeszłość spogląda — wierzę silnie, że bylibyśmy górą! Był taki między nami poryw, a takie jakieś nieokreślone między Rosyanami osłupienie, że przewaga była po stronie naszej. Brak broni wszystko zniweczył.... Dziś, gdy patrzę w przeszłość i przypominam sobie ów zastęp, co poszedł za mną z trzech zaścianków, z kosami tylko w ręku, przeciw armatom i sztucerom, zostawiwszy żony, starców i dziatki w domu, bez opieki, — łza mimowoli nabiega mi do oczu, jako wyraz czci dla owych ludzi, którzy z miłości dla kraju gotowi byli zdobyć się na najwyższe poświęcenie. Byli to nieodrodni bracia owych Maćków Dobrzyńskich z Pana Tadeusza... Naród, co takich posiada synów, — nie zaginie nigdy!

VIII.

Zebrawszy tedy owe zaścianki, powiozłem je do oddziału pod Zalesiem pozostawionego. Tu zastałem kolegę mego z Cuneo, Adama Radowickiego z Grodzieńskiego,

Ojciec nie przyzwalał na ślub młodszej córki przed starszą. Zofia atoli pozwolenie otrzymała przemocą. Podczas wieczornego przyjęcia u rodziców udała się potajemnie do mieszkania Woldemara. Nieobecność jej wyjaśniał wystosowany do ojca bilecik: „Jestem u Woldemara, nie sprzeciwiaj się dłużej naszemu związkowi.“ Generał Krukowski, chcąc nie chcąc, musiał coprędzej sprowadzić córkę do domu i obwieścił jej zaręczyny z Kowalewskim.

W pozornej podróży poślubnej, do której przyłączyła się od razu spragniona wiedzy przyjaciółka, później zaś i siostra Zofii, Kowalewscy odwiedzili najpierw sławną angielską powieściopisarkę, George Elliot, poczem Zofia z przyjaciółką i siostrą przez rok słuchały wykładów w Heidelbergu. Woldemar w tymże czasie studyował w Jenie i Monachium, wreszcie we trójkę przenieśli się do Berlina, Anna zaś potajemnie wyjechała do Paryża.

W Berlinie Zofia zagłębiła się zupełnie w nauce. Jedynem jej towarzystwem był prof. Weierstrass, który szczerze podziwiał jej talent matematyczny i według sił, ucząc ją prywatnie pracował nad jej rozwojem. Uczciwie mówiąc, życie tych dwóch kształcących się dziewcząt przez sześć półroczy było psiem życiem. Zofia wychodziła wtedy tylko, gdy wstępował po nią mieszkający na przeciwległym krańcu miasta i często wyjeżdżający z Berlina Woldemar. Zdawało jej się zawsze, że się kompromituje; obie z przyjaciółką niedoświadczone, trwożliwe, źle mieszkały, źle się żywiły, pozwalały się tyranizować i okradać przez sługę, nie używały sobie żadnej przyjemności, żadnej rozrywki. Od rana do nocy Zofia siedziała przy biurku nad zadaniami matematycznemi; ukończywszy pracę, biegała po pokoju, mówiąc do siebie głośno i bezustannie jeszcze mózgiem pracując. Przyzwyczajona do towarzystwa, usługi, opieki we wszystkich codziennych, drobnych sprawach życia, nie umiała kupić sobie w największej potrzebie sukni, jeśli nie wybierał jej z nią Woldemar. Lecz on nie chciał stale spełniać usług małżonka „z pozoru“ — i w celu dopełnienia wiedzy wyjeżdżał często i na długo do innych miast. Pieniędzy otrzymywali pod dostatkiem z domu, bieda nie zbliżała ich tedy do siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Prywatne instytucye

dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

(Ciąg dalszy).

IV.

Szkoły letnie (Sommer-schools)

Jednostką w życiu społecznem amerykańskiem jest klub. Wszelka działalność społeczna, wszelka agitacya, propaganda etc. opiera się na klubach i rozwija przez nie. Wskutek tego też nieraz kluby, mające pozornie nic nie znaczące zadania przed sobą, jak np. urządzanie zabaw towarzyskich, odgrywają jednak w społeczeństwie bardzo ważną rolę. Zmysł praktyczny Amerykanów pozwolił im ocenić od razu znaczenie łączenia ludzi w grupy i uznać kluby za tę ziemię, wydającą dziesięciokrotny owoc, o której wspomina biblia. Każdy pragnący pracować na niwie społecznej zwraca się więc tutaj przedewszystkiem do jednego lub kilku klubów i stara się je pozyskać dla swojej idei. Skoro zapewni sobie ich poparcie, może uważać sprawę swoją za wygraną.

Podobnie dzieje się i z urządzaniem szkół letnich. Szkoły te mają za zadanie dać sposobność korzystania z nauki tym ludziom, którzy pracując ciężko rok cały, mają odpoczynek w ciągu paru letnich miesięcy. Ludzie interesowani w tej sprawie zwracają się zwykle z propozycyą urządzenia kursów letnich do jakiegoś klubu i starają się zapewnić sobie jego poparcie, „in corpore.“ Gdy to nastąpi, wynajmują gdzieś, — w niewielkiej odległości od większych miast, — zwykle na wsi, jakiś gmach kollegialny, lub wyszukują dostateczną ilość prywatnych mieszkań i wyjeżdżają tam wraz z całym klubem i wszystkimi przyjaciółmi i znajomymi członków klubu, którzy pragną wziąć udział w tej sprawie. Zarząd całej takiej gromady wakacyuszów spoczywa zwykle w rękach paru osób, które prowadzą gospodarstwo domowe, pilnują porządku, dostarczają nauczycieli i urządzają rozkłady godzin wykładowych.

Zarząd robi ze swej strony wszystko, co może, ażeby uprzyjemnić pobyt i naukę uczniom szkoły. Mieszkanie wyszukuje się zwykle z dużym ogrodem, dostarczają się łódki, urządzają wycieczki parostatkami i powozami i t. d. Cała osada zwykle rządzi się zasadami kooperacyjnemi, stąd też koszta są najczęściej bardzo niewielkie. Normują się one jednak naturalnie według stanu finansowego klubowców. Jeżeli klub złożony jest z ludzi biednych, jak n. p. drobnych szwaczek miejskich, — to robota gospodarcza dokonaną bywa przez samych członków klubu, z których każdy ofiarowuje jakąś godzinę dziennie na pracę dla dobra całego towarzystwa. Gdy klub jest w stanie opłacić służbę, — wynajmuje się odpowiednią ilość sług. Nie trzeba jednak sądzić, że towarzystwo szkoły letniej ogranicza się tylko do tej klasy społecznej, do której należą klubowcy. Jak już wspomnieliśmy powyżej, razem z klubowcami zjeżdża się nieraz duża ilość osób postronnych w celu dawania wykładów w szkole, albo nawet po prostu w celu spędzenia z młodzieżą wakacyi. W większości wypadków nikt nie jest zobowiązany do pozostawania w szkole

---

Walerego Goliana, emigranta (brata zmarłego kanonika Zygmunta Goliana), podoficera z legionów algerskich, a z tym nie jakiego Pawłowicza, młodego oficera armii rosyjskiej, tylko co ze szkoły artyleryi wypuszczonego. Obaj jechali do Kijowa z Warszawy i obaj przyłączyli się do oddziału. Radowickiego zamianowałem dowódcą kawaleryi, Goliana naczelnikiem sztabu, Pawłowicza swoim adjutantem, Szaniawskiego dowódcą wszystkich strzelców, z tytułem pułkownika, Wolanina kapitanem batalionu strzelców, Nęckiego dowódcą kosynierów. Drugim przy mnie adjutantem był Stasiakiewicz, ekskleryk z Janowa; prócz tego zamianowałem kilkunastu oficerów, podoficerów, jak np. Bogusławskiego, Żukowskiego i wielu innych, których nazwisk już dziś nie mogę sobie przypomnieć.

Odebrałem wtedy właśnie od Rządu narodowego akt uwłaszczenia chłopów, z manifestem, ogłaszającym, że kto dobrowolnie przystąpi do powstania, otrzyma na własność wieczystą pięć mórg gruntu. Przysłano mi również odezwę do narodu wzywającą do powstania, napisaną przez Gillera.

Uporządkowawszy oddział, o ile to było możebnem, ruszyłem do Janowa Podlaskiego (Księżego), by się zaopatrzyć w konie, które postanowiłem zabrać z tamecznej stajni rządowej, a zarazem, by przystąpić do umundurowania i wymustrowania naszych szeregów. W Janowie przebyłem dni trzy. Oddział nasz wzrósł do tysiąca ludzi i wtedy postanowiłem ruszyć na Białą, by ją zdobyć. Chciałem ze sobą powieźć biskupa Benjamina z Janowa, ekskapucyna, lecz udał chorobę i odmówił. Siłą go powlec nie chciałem, a szło mi głównie o wywarcie wrażenia na lud. W drodze dowiedziałem się, że Mamajew tegoż dnia wyszedł z wojskiem do Siedlec, zająłem więc Białą bez boju. Był to wieczór, miasto oświetlone, wszyscy mieszkańcy na ulicach, odwach zajęty przez żydów, którzy urządzili straż miejską, przypiąwszy do czapek narodowe oznaki. Radość była wielka... Tak przeszła noc. Rano odbyło się nabożeństwa. Deputacye żydowskie zaprosiły mnie do synagogi, gdzie żydzi składali przysięgę Rządowi narodowemu. Podczas modlitwy trzymałem rękę na Talmudzie (?), a żydzi, modląc się wykrzykiwali kilkakrotnie moje nazwisko. Potem było nabożeństwo w kościele, gdzie X. Mleczko poświęcał sztandary nasze. Wezwałem następnie właścicieli ziemskich, by przybyli dla wyboru rządu narodowego, według udzielonej mi instrukcyi. W Zarządzie powiatowym mieli zasiadać: jeden włościanin, jeden żyd, jeden mieszczanin, jeden ksiądz i trzech właścicieli ziemskich-szlachty, razem siedmiu członków. Istotnie zjechało się dosyć. Był Buchowiecki, luminarz powiatowy, lecz nie zjawił się Stanisław Alexandrowicz. Zamiast wybrać znaczniejszych obywateli, właścicieli ziemskich, zebrani wybrali przeważnie oficyalistów swoich, o których już wiedzieli, że do ruchu należą. Gdym zaczął im wyrzucać takie tchórzostwo, iż chcą się zasłonić drugimi, jeden z pomiędzy nich, Łojko z pod Piszczac, odezwał się:

— Wybierajcie sami z pomiędzy siebie. My do partyi ruchu nie należymy i powstanie nic nas nie obchodzi!

Krok taki smutne dla Łojki mógł spowodować następstwa. Już miałem dać rozkaz Radowickiemu, by Łojkę aresztować, gdy w tej chwili odebrałem zawiadomienie, że Rosyanie pod dowództwem generała Nostiza, w siedm rot piechoty, z jedną rotą saperów, dwiema armatami i sotnią kozaków wyszli z Brześcia i nad wieczorem staną w Biały. W przewidywaniu bitwy odłożyłem postanowienie co do Łojki, do następnego dnia i zebranie rozpuściłem. Tak przeszło kilka godzin. Nad wieczorem pojawili się Rosyanie i rozlokowali obozem na szosie o trzy wiorsty od Biały, w karczmie zwanej Białką: jedną zaś rotę piechoty i rotę saperów postawił gen. Nostitz u mostu na Krznie, by go poprawić. Widząc, że nieprzyjaciel zamierza nocować i dopiero następnego dnia uderzyć na nas, postanowiłem go uprzedzić, rozumiejąc, że lepiej ten na tem wychodzi, kto napada, niż ten, co się broni. Tak też zrobiłem. Zostawiwszy obóz w mieście, wyszedłem z oddziałem na Nostitza o godz. 10 wieczorem. Mogłem iść albo wprost po szosie aż do karczmy, w której stał przeciwnik, i przejść lasek, który go zasłaniał, lub też iść po drodze prowadzącej do Woskrzenic. Wybrałem tę drugą. Nieprzyjaciel był rozlokowany na polanie, wprost karczmy, otoczonej nie wielkim lasem. Idąc równolegle, byliśmy od niego oddzieleni drobnemi krzakami. Gdyśmy podeszli i znaleźli się na jednej linii z nim, ujrzeliśmy rozłożone ognie nieprzyjacielskie. Wtedy obróciwszy front nasz przeciw nieprzyjacielowi, rozdzieliłem swoich w taki sposób: lewe nasze skrzydło, pod

letniej dłużej, niż tego sobie życzy. Ztąd też panuje ciągła zmiana tak wśród wykładających jak i słuchaczy.

Lekcye, o ile na to pozwala pogoda i przedmiot wykładany, odbywają się zwykle na świeżem powietrzu. Przytem, z wyjątkiem szkół letnich specyalnych, o których wspomnimy poniżej, wykłady noszą na sobie pewną szczególną cechę, zależną od ich dorywczości i warunków bytu słuchaczy. Ponieważ ci ostatni składają się zwykle z mieszczan, więc chodzi przedewszystkiem o otwarcie im oczu na przyrodę. Wskutek tego urządzają się głównie lekcye z ornitologii, botaniki, mineralogii i t. d. Wykłady połączone są z wycieczkami, zbieraniem minerałów, roślin etc. Często nie ma w nich najmniejszego systemu — chodzi bowiem o to, aby nie trudzić słuchaczy, lecz rozwinąć w nich tylko zmysł obserwacyjny i gust do przyrody. W tym też celu urządzane są zwykle lekcye robienia szkiców, cieszące się w większości wypadków wielkiem powodzeniem. Obok przedmiotów przyrodniczych, wielką rolę odgrywają wykłady z literatury, a mówiąc właściwie, nie wykłady, lecz czytanie autorów z komentarzami. Dalej idą ulubione w każdej amerykańskiej szkole lekcye elokwencyi. tak zwane lekcye „Del Sarte,“ gimnastyki etc. Od czasu do czasu, przyjeżdżają też zwykle jakieś znane szerszym kołom amerykańskiej publiczności osoby dla wygłoszenia jednego lub dwóch odczytów w przedmiotach dotyczących ogólnego wykształcenia.

Naturalnie mowa tu o szkołach letnich, urządzanych wśród niższych warstw ludności amerykańskiej. W Ameryce jednak pod nazwą szkół letnich rozumieją wogóle wszelkie letnie wykłady, urządzane n. p. przez uniwersytety, kollegia, szkoły teologiczne etc. Obok szkół letnich na wsi, istnieją jeszcze szkoły letnie miejskie, a właściwie kursa wykładów popularnych, urządzane latem przez uniwersytety ludowe, lub inne instytucye tego rodzaju. O tych jednak, jako nieróżniących się niczem od szkół zimowych, nie potrzebujemy wspominać na tem miejscu. Szkoły letnie ludowe, właściwie mówiąc, nie wiele podają słuchaczom nauki w ścisłem znaczeniu tego słowa. Dostarczają one raczej zachęty do nauki, i pewnego zasobu idei, które inaczej nie przeniknęłyby do sfer zapracowanego i pochłoniętego walką o zdobycie chleba ludu. Gdy jednak zważymy, że rok rocznie tworzą się w Ameryce tysiące szkół tego rodzaju, mających od kilkudziesięciu do kilku tysięcy słuchaczów, i że wielu z tych ostatnich po kilkakrotnie powraca do letniej szkoły, — to zrozumiemy, że masowa działalność szkół nawet tego rodzaju przedstawia wielką społeczną siłę. Przytem jedną z pierwszorzędnych zasług szkół letnich jest wzbudzenie zamiłowania do czytania, które przy odpowiedniem kierownictwie nabywa się bardzo łatwo. To samo znaczenie mają i lekcye z zakresu przyrody. Niesłychanie wązki horyzont, w jakim się obracają interesa duchowe klas niższych, rozszerza się z łatwością, i jednostka ludzka, dotychczas pogrążona w nieskończonych drobiazgach codziennego życia, staje się zdolną do uczuć szerszych i czystszych.

W instytucyach tego rodzaju jak Chautauqua, szkoły letnie mają jeszcze inne dodatnie znaczenie, — a mianowicie: osobiste zbliżenie się i zapoznanie uczni z nauczycielami, od których poprzednio pobierali naukę tylko za pośrednictwem korespondencyi. W wypadkach, należących do ostatniej kategoryi, przypada szkole letniej doniosłe pedagogiczne znaczenie; daje ona bowiem możebność usunięcia wielu nieporozumień, które powstać mogły z powodu niedostatecznej znajomości uczni ze strony profesora.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kobieta przy pracy.

Powolnym tylko, ale za to tem pewniejszym krokiem wstępuje kobieta na zachodzie Europy w zakres zawodów, które dla niej niedawno jeszcze tak dobrze jak zamknięte były, i ledwie od niedawna przyzwyczaja się Europejczyk do widoku młodych dziewcząt w kantorach banków, w biurach towarzystw ubezpieczeń i adwokatów, u okienka kasjerskiego na kolejach itd. Stenografują one, pracują nad maszyną piszącą. prowadzą księgi i noszą — można się o tem przekonać naocznie np. na budapeszteńskim dworcu, kupując od panny urzędniczki bilet jazdy — z taką samą godnością mundur urzędniczy, jak ich męzcy koledzy. A doświadczenia, poczynione przez odnośne instytucye i prywatnych przedsiębiorców z zatrudnieniem i zużytkowaniem sił kobiecych na swoją korzyść, są tego rodzaju, że z roku na rok coraz dotkliwiej uczuwa męzka młodzież, szukająca posad w przeróżnych gałęziach kupiectwa, konkurencyę kobiecą.

Zarówno z telegrafistkami, telefonistkami, manipulantkami pocztowemi i nauczycielkami okazały się kobiety doskonałymi pomocnikami kupieckiemi w tych gałęziach handlu, które zdawało się, daleko bardziej powinny im być obcemi, niż krawiectwo damskie i kupiectwo modnemi towarami. Wzrasta też procent kobiet i dziewcząt zajętych we wszelkich gałęziach kupiectwa bez przerwy. Wzrost ten nie występuje w Europie tak gwałtownie, jak np. w Stanach Zjednoczonych, gdzie w samych tylko przedsiębiorstwach transportowych liczba zajętych kobiet w ciągu lat 20 od 1870 do 1890 r. powiększyła się przeszło o 1000 proc.

---

dowództwem Szaniawskiego, a przy nim Czapińskiego, ludzi 230, naznaczyłem, by wyruszyło i zajęło szosę między Białką a mostem, dla przecięcia komunikacyi między głównym obozem przeciwników a saperami i piechotą, zajętymi naprawą mostu. Z prawego skrzydła oddzieliłem pięćdziesięciu strzelców pod dowództwem Bogusławskiego, aby idąc równo z nami ku nieprzyjacielowi, odkryli fałszywy ogień od strony Biały i podeszli do przeciwnika lasem. Tym sposobem sądziłem, że główną uwagę nieprzyjaciela zwrócę na Białą; ja zaś, w tę porę, z całą resztą oddziału miałem uderzyć na nieprzyjaciela z boku.

IX.

Strzelcami idącymi na przedzie dowodził Wolanin; kosynierów prowadził Nęcki, kawaleryę w 80 koni Radowicki; przy mnie byli Golian i Pawłowicz. Zbliżamy się do nieprzyjaciela. Już go widzimy przy rozpalonych ogniach. Bogusławski wyprzedziwszy nas na 300 do 400 kroków odkrył ogień. Nieprzyjaciel, jak oparzony, zaczął gasić ognie i strzelać do lasu, na oślep. Pospieszamy naprzód. Wolanin ze strzelcami zajmuje rów szosowy naprzeciw polanki i rozpoczyna atak. Nęcki z kosynierami zdobywa karczmę, z której wyparowywa nieprzyjaciela, bierze dwóch oficerów do niewoli, kilkunastu żołnierzy rani i zabija. Nieprzyjaciel cofa się do polanki. Trzeba było kosynierom przejść przez tę ostatnię, by wyparować stamtąd wroga, a wtedy bitwa byłaby wygraną... Idą naprzód. Wprost nich stoją dwie armaty. Nieprzyjaciel daje ognia kartaczami. Pada kilkunastu i szlachta krzycząc „hura!“ cofa się ze szosy. Nęcki zbiera rozpierzchłych, porządkuje i znowu rusza na szosę. Tu znowu strzał kartaczami, znowu kilku pada, a reszta się cofa. Brakło podoficerów, którzyby zozumieli, że armaty straszne tylko — przed strzałem. Po wystrzale brać je można z łatwością. Widząc, że kosynierzy nie poradzą, zwracam się do Radowickiego.

— Adamie! wołam — musimy wziąć te armaty, bo bitwę przegramy.

Mogliśmy tylko przejść pomiędzy karczmą a stodołą obok stojącą. Po bokach ogrody i ogrodzenia, tak, że rozwiniętym szeregiem iść nie było można; a tu nadomiar ciemno. Formuję szóstki i ruszamy z kopyta. W pierwszej szóstce Radowicki, ja, Pawłowicz i trzech żołnierzy. Wypadamy na szosę. Tu spotkał nas strzał armatni. Kartacz zabija mi konia, ja padam. choć nie raniony, lecz koń przygniótł mi nogę. Nim się wydobyłem, pada strzał drugi — zamieszanie. Radowicki, w przekonaniu, żem ja zabity, cofa się, żołnierze za nim. Jeden z żołnierzy, spostrzegłszy mnie na nogach, podaje mi konia. Siadam na niego, lecz już chwila była stracona, tem więcej, że i po oddziale rozeszła się wieść, żem zabity. Nęcki cofa się z kosynierami. Dostał widocznie jakiegoś obłędu, gdyż wśród zamięszania ucieka z pola bitwy i odtąd go już więcej nie ujrzałem. (Wiem, że następnie poległ w jednej z bitew w Lubelskiem.) Wolanin, choć powoli, lecz także cofa się, strzelając ciągle. Zbieram oddział tuż pod Białką; chciałem raz jeszcze powtórzyć atak, lecz było to trudno, z powodu zamętu. Nadomiar złego, dano mi znać, że nieprzyjacielowi przyszły w pomoc posiłki od mostu. Spotkał je Szaniawski, lecz zbyt słabo atakował i pozwolił im spełnić zadanie, tak, że siły gen. Nostitza na polance znacznie się powiększyły, a nasze się rozpierzchły.

Postanowiłem więc wrócić do Biały, do miasta, by tam na nowo się zorganizować. Nostitz za mną nie poszedł i czekał dnia. Ja wróciwszy do miasta, oprócz przyprowadzenia mego oddziału do nowego porządku, musiałem mieć na oku gen. Nostitza. Była już godz. 12 w południe, a on się nie zjawił, gdyż, jak się dowiedziałem, czekał na posiłki z Brześcia.

Tymczasem Szaniawski nie wrócił, ja widząc, że trudno będzie z oddziałem moim utrzymać się w Biały, zabrałem, co tylko było można z pozostałości po artyleryi, ładunków, mąki i owsa i wyruszyłem do Janowa w przewidywaniu, że tam spotkam Szaniawskiego, co też istotnie nastąpiło nazajutrz po wejściu do Janowa. Jako trofea bitwy pozostali nam dwaj oficerowie, wzięci w karczmie przez kosynierów. Zajął Białą po odejściu naszem gen. Nostitz i tam pochował 140 zabitych żołnierzy i dwóch oficerów. Czynność tę musieli spełnić X. X. Bazylianie, których kościół z ciałem ś-go Józafata biskupa znajdował się w Biały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przyrost w gałęziach, w których się wymaga jedynie mechanicznej, ręcznej zręczności, wynosił 130 procent.

Mary Kelley poświęca w „Lippencotts Magazine“, poważnym amerykańskim przeglądzie, długi artykuł tej rewolucyi, jaka się dokonała w amerykańskiem społeczeństwie.

Bo trzeba wiedzieć, że dawniej, nawet w wolnej od przesądów Ameryce, ojciec rodziny musiał już bardzo zbiednieć, aby się zdecydował dać córce swojej jakiś zawód w ręce tak, aby samodzielnie na chleb zarobić mogła. Córki drobnych przemysłowców, urzędników nieuposażonych od losu majątkiem, lekarzy, adwokatów itd. pozostały tak długo ciężarem rodziny, póki się dla niej nie znazł mąż odpowiedni.

Rodziny, stanowiące wyjątek od powyższej reguły, musiały się nawet i w Ameryce godzić z tem, że je w „towarzystwie“ mniej wysoko poważano.

Dzisiaj nawet i za oceanem przestało być małżeństwo ogólną instytucyą ubezpieczania losu dziewcząt i nawet w domach zamożnych panuje zasada przygotowania córek do jakiegokolwiekbądź zawodu i jakiejkolwiek pracy, któraby im zapewniła chociaż skromne utrzymanie.

Rozwój tej idei, że kobieta jest istotą o własnej egzystencyi, a nie samym tylko akcesoryum mężczyzny, że ona porówno z mężczyzną winna spełniać obowiązki względem społeczeństwa i dźwigać moralną odpowiedzialność — to są rzeczywiste powody rewolucyi, której jesteśmy świadkami. Kobieta obserwatorka p. Kelley, za mało może tylko nacisku położyła na to, że w Ameryce jak w Europie, utrzymanie rodziny staje się coraz trudniejsze, a tem samem prawdopodobieństwo zdobycia dobrobytu w małżeństwie coraz mniejsze. Praca kobieca stała się w Europie koniecznością w warstwach społecznych, w której jej niegdyś zupełnie nie znano.

Nowe wynalazki takie jak telegraf, telefon, maszyna do pisania i inne nie mogły dostarczyć zajęcia wielu tysiącom szukających go dziewcząt, to też one w Ameryce zwróciły się do przemysłu i kupiectwa, rugując płeć silną ze stanowisk, którą dotąd bezpiecznie i wyłącznie zajmowała.

Co do kupiectwa, Mistress Kelley zaznacza, że rewolucya ta dotychczas dała tylko mierne rezultaty, bo bardzo rzadko która Amerykanka staje się dobrą pracowniczką kupiecką i robi karyerę. W kraju, w którym mężczyźni rodzą się ze zmysłem do interesów, dziwnym sposobem kobiety nie mają żadnych kupieckich zdolności. Równocześnie bardzo ekspanzywny i bardzo podejrzliwy charakter młodych Amerykanek, jak wogóle kobiet, wynikłe z wiekowego fałszywego wychowania, jest wielką przeszkodą.

Zupełnie bez żadnego przejścia dochodzą małe Jankieski od najgorętszej przyjaźni do najzacietszego gniewu, znowu się przepraszają znowu wzajemnie sobie — wojnę wypowiadają.

W biurach pewnego wielkiego towarzystwa ubezpieczenia utknęła razu pewnego przez cały jeden dzień praca dla tego, bo dwie stenografistki pogniewały się na siebie i nie chciały udzielać sobie wzajemnie objaśnień, koniecznych do ekspediowania aktów. Wielkie nowojorskie przedsiębiorstwa kupieckie z powodu tej kłótliwości swoich urzędniczek zakazały im surowo wszelkiej konwersacyi podczas godzin urzędowych. Zakazały wprawdzie, ale rozumie się samo przez się, że zakaz ten pozostał na papierze.

Do powodów niepowodzenia należy zaliczyć, że wiele kobiet usiłuje pogodzić pracę zawodową z rozrywkami zwyczajnemi w otoczeniu, do którego wraz z rodzinami należą, albo z zajęciami domowemi, którym się chcą w wolnych chwilach poświęcać, albo wreszcie z przygotowaniem własnemi rękoma toalety codziennej i świątecznej.

Niemożliwem jest — mówi z naciskiem mistress Kelley — być równocześnie dobrą pomocnicą kupiecką i dobrą gospodynią w domu. Autorka zna pannę, która w kupiectwie doprowadziła do stanowiska stosunkowo wysokiego. Rozpoczęła od sprzedawania koronek w jednym z oddziałów wielkiego domu kupieckiego w Nowym Jorku, ale w czasie wolnym od pracy korzystała z każdej sposobności, aby się poinformować o różnicach w jakości towaru, cenach jego, pochodzeniu i wyrobie fabrykatów, które sprzedawała. Wolne godziny spędzała w bibliotekach na studyowaniu książek o historyi koronek, a dzięki teoretycznemu wykształceniu i doświadczeniu, które zdobyła, stała się taką znawczynią koronek, że dzisiaj w najpierwszym domu handlowym Nowego Jorku otrzymuje 4000 dolarów rocznej płacy.

Jest to z pewnością najlepiej płatna pomocnica handlowa na całym świecie. Własną pracą zdobyła wielki los, po który tylu ręce wyciąga, a którego tak wielu nie może pochwycić. Kobietom jednak na razie, również dzięki przesądom w wychowaniu, brak w tych usiłowaniach albo zdrowia, albo też, i na to kładzie mistress Kelley szczególniejszy nacisk, wytrwałości i ścisłości, jednak z postępem ogólnym i te przymioty w sobie niezawodnie wyrobią.

Trochę wrażeń
z wycieczki po Bośni i Hercogowinie.

(Dokończenie).

Za czasów tureckich każdy turek był panem, a każdy Bośniak tak dobrze jak niewolnikiem... Teraz się to cokolwiek zmieniło. Czasy złotej wolności dla turków minęły — czy bezpowrotnie, niedaleka przyszłość pokaże. Obecnie turcy trudnią się przeważnie po miastach handlem, a i po wsiach każdy z nich musi mieć choć mały sklepik. Różne tu wieści kursują o nich. To wszakże jest pewnem, że wszyscy oni prawie są bardzo zamożni, a niektórzy bogaci. Ale także dziwnem jest ich życie. Chowają się, kryją, wszystko okrywają jakąś śmieszną tajemniczością.. Są tu bardzo nielubiani i tylko musowo tolerowani. Ich kobiety — to pasożyty, stworzone do zaspokojenia żądz swych mężów i dalibóg do niczego więcej. Wielożeństwo tu prawie jakby ustało. Wielu z turków uznało ten system osładzania sobie życia za zbyt kosztowny i niewygodny. Haremów tu w ścisłem znaczeniu tego słowa nie ma. Są to wszystko prywatne pomieszkania. zbytkownie urządzone, do których wstęp jest szczelnie zapartym.

Turcy tutejsi mają swoją specyficzną arystokracyę. Są to przeważnie bogacze, t. zw. begowie. Używają oni tu tego poważania, jakie na świecie odbierać można od czcicieli złotego cielca. Sami zaś mają się za coś lepszego i niechętnie się „pospolitują“.

Wręcz przeciwnie jest u Bośniaków. Nie wiem czemu to przypisać, ale naród ten obecnie nie posiada wcale t. zw. wyższej klasy, szlachty, jeżeli kto tak chce, — burżuazyi, jeżeli kto tak woli. Jest tylko B o ś n i a k, jeden bogatszy, drugi biedniejszy, jeden mądrzejszy, drugi głupszy, ale zresztą równi sobie najzupełniej. Wszelką zaś nawet imaginowaną różnicę stanu, zaciera jednakowy kostium, który tu noszą wszyscy. Mówiąc w s z y s c y, nie mam na myśli wieśniaków, ci bowiem noszą się odrębniej i łączą się przeważnie z sobą, tylko zdawaćby się więc mogło, że ci wieśniacy właśnie tworzą tu to, co zwykliśmy w naszej Europie nazywać klasą niższą. Lecz to pozornie tylko. W rzeczywistości jest on, wieśniak, zupełnie tak równym drugiemu Bośniakiem, jak oni tu wszyscy. Nowe czasy przyniosły z sobą i nowe porządki. To też teraz z masy narodu bośniackiego poczyna wyłaniać się burżuazya, tak jak we Francyi sto lat temu jeszcze. Pod tym względem Bośnia jest sobie bardzo jeszcze prymitywnem dzieckiem, nie mającem pojęcia o różnicach i walkach klasowych. Ta ewolucya, musowa zresztą, przyjdzie i przyjść musi, jak zresztą już teraz częściowo przychodzi, ale obecnie jest jeszcze w powijakach. To też Bośnia teraźniejsza nie jest wcale gruntem podatnym do rozwijania i propagowania idei i teoryi socyalnych. Dopóki chłop rosyjski, mający swoją „obszczynę“ i swoją wspólną własność gruntową, pracujący na niej z rezultatem dodatnim dla swej kieszeni i bytu w ogóle, nie rozumie i nie będzie potrzebował rozumieć tej walki kapitału z pracą i nienormalności stosunków obecnych, póty także bośniak taki, jakim go jeszcze obecnie warunki tutejsze wydają, nie będzie zaprzątał sobie głowy teoryami zmiany porządku teraźniejszego... Najprzód, jak mawiają socyaliści, musi przejść on epokę drobnoburżoazyjną, potem zaś dopiero kapitalistyczną i wielkofabryczną, dopiero wtedy można się spodziewać, iż rzuciłby się tam, gdzieby widział swe oswobodzenie. Teraźniejsze zaś stosunki są prymitywne, patryarchalne, dobre. Każdy pracuje na roli, albo trudni się pasterstwem, niektórzy kupiectwem i już. Wielkiego przemysłu nie ma, nie ma więc i proletaryatu fabrycznego. To zaś, co jest, jest tak nielicznem, że brać tego w rachubę nie można. Proletaryat zaś wiejski nie istnieje. Może bardzo skromnemi są warunki bytu wieśniaków tutejszych, ale jeżeli tylko chcą pracować, — chleb znajdą zawsze. Żołądek ich jest pełnym, a przy pełnym żołądku łatwiej pomyśleć o drzemce, niżeli o podłości tego najmarniejszego ze światów... Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ta chwila. w której pocznie się wyraźniejsza walka o byt i kęs chleba, jest już niedaleką, obecnie jednak stosunki są jeszcze znośne. Ogromny napływ cudzoziemców to ułatwi. Bośniacy już teraz czują to doskonale i jasno sobie z tego zdają sprawę, że dotychczasowe sposoby zdobywania egzystencyi nie wystarczą. To też rzucają się do kształcenia, ćwiczą się w rzemiosłach, patrzą i uczą się wszędzie, gdzie do tego sposobność znajdą. Głośno tu cudzoziemcy sarkają, że teraz coraz więcej w Bośni Bośniacy zaofiarowywują zdatnych głów i rąk bośniackich... Czyż może być coś naturalniejszego? A jednak przybysze naturalnie nie cieszą się z tego. Nas jednak bezstronnych ten objaw tylko radować może.

Kiedy lat temu 18 w Bośni, śmiało rzec można, nie było ani jednego wykształconego i t. zw. inteligentnego Bośniaka, kiedy naród bośniacki był jedną tylko wielką masą knechtów i niewolników zdziczałych, ogłupiałych, złych, niedobrych i nieufnych, teraz, w marne lat 18, posiadamy tu i lekarzy i adwokatów i różnych innych Bośniaków rodowitych, w Bośni wykształconych, choć częściowo przynajmniej. A że bośniacy są dość pojętnymi i sprytnymi, przeto te obawy cudzoziemców są dość uzasadnione.

Ale liczba tych wykształconych Bośniaków jest, rzecz prosta, nieliczną. To też giną w całej tej falandze najeźdźców, —

spekulantów, geszefciarzy i amatorów łatwego zbogacenia się, których tu okupacya ściągnęła i ściągać nie przestaje. I oni to wszyscy stanowią jedne z przygnębiających stron ujemnych Bośni obecnej. Na oko, cóż bardziej naturalnego i więcej dodatniego, jak te całe masy przybyszów, którzy przyszli dać Bośni oświatę, handel, przemysł i postęp w ogóle? A jednak to najmarniejszy element, jaki się tu znajduje. Nie znajdziesz między nimi nic nad aferzystów, spekulantów i amatorów lekkiego chleba. Począwszy od najmarniejszego kelnera, a skończywszy na najpierwszym jenerale — jedna to banda, solidarnie się za ręce trzymająca. To też Bośniacy nadali im wszystkim pogardliwą nazwę „szwabo“, którą traktują każdego surdutowca bez wyjątku. „Szwabo“ to jakby coś nieczystego, o którym się jednak głośno nie mówi, że zgnilizną trąci. „Szwabo“ ma w swych rękach wszystko, „szwabo“ wszystko może, „szwabo“ wreszcie jest tu panem de facto. Ale naród ich marnie farbowaną skórę odgadł, przeczuł w nich wyzyskiwaczy i złych ptaków niebieskich, wie teraz, co o nich sądzić. Ta cała zgraja jest tak bezwstydną, że nie wstydzi się publicznie przyznawać do tego, iż do Bośni przyjeżdża się robić karyerę i że za takie poświęcenie trzeba mieć przynajmniej jakąś nagrodę.

W kraju zabranym musi być z natury rzeczy cała masa urzędników niemieckich. Ci tłomaczą się tem, że służba nie przyjemność i że musieli tam jechać, gdzie im kazano. Każdy z nich pogardza i brzydzi się jawnie tym Bośniakiem, którego chleb je i czuje się najszczęśliwszym, gdy może dowoli nawymyślać na ten „marny kraj“. Ponieważ Bośniacy nie są jeszcze w stanie dostarczyć jako takiego sortymentu kupców, przemysłowców, rzemieślników itd., przeto wszystko to trzymają w rękach swych austryacy, z których dobrze, jeżeli na stu trafi się jeden niemiec — reszta to wszystko czesi, słowacy, chorwaci i Polacy. Każdy z nich jednak jest austryakiem, po niemiecku mówi, za swego „kaisera i königa“ dałby się porąbać. Już to w ogóle można podziwiać zmysł polityczny Austryi i jej niezwykłą zręczność w mięszaniu i przeciwstawianiu sobie swych różnojęzycznych tłumów. Ktoby sądził, że tu element niemczący stanowią niemcy, tenby myślał logicznie, ale byłby w grubym błędzie... Śmiać się albo zębami zgrzytać trzeba, widząc, jak te całe masy czechów, naszych polaczków i innych „słodkich diejatieli“ z powodzeniem uprawia t. zw. sport austryazowania rdzennie słowiańskich z'em Bośni i Hercogowiny.

Smutne to bardzo, a tem smutniejsze dla nas polaków, że lwią częścią do tego przykładają się tu i „nasi najserdeczniejsi“. W Bośni najwięcej karyerowiczowskim, najnietyczniejszym i najbezczelniejszym pod tym względem narodem są czesi. Gdzie przemówisz — czech, gdzie się obrócisz — czech, czego się dotkniesz — czech, ale też tych czechów nienawidzą z całego serca... Ma się rozumieć lepsi. Potem główny kontyngens z „marnych ludzi“ stanowią polacy, a ci są tacy, że o nich doprawdy lepiej nie pisać, bo i wstyd i boli... Przecież w samym Sarajewie jest tych „kochanych“ do dwóch tysięcy, — urzędnicy, kupcy, profesyoniści, rzemieślnicy, — a wszystko albo naumyślnie mówi stale po niemiecku, albo zgoła woli rozmawiać jakimkolwiek innym językiem, byle nie swoim. Trafiałem na takich, którzy zdążyli w dwa lata, wyraźnie w dwa, po przybyciu wprost z Galicyi, gdzie wzrośli i wychowali się, zapomnieć albo zupełnie po polsku, albo tak kaleczyć język swój że aż wstręt słuchać. Przecież to trudne do uwierzenia i doprawdy zdaje się niemożliwem. A co powiedzieć o tych, co naumyślnie przekabacają się nie z przekonania, lecz ze względów dość nikczemnych na niemców? I ci po większej części to nasza t. zw. inteligencya, „czoło narodu“, urzędnikerya wyższa, szlachta itd., która tu nie z potrzeby gwałtownej, ale po służbie przychodzi. Ładna Polska i ładni polacy, a dla nas obcych, którzy tu przyjeżdżamy zwiedzać Bośnię i Bośniaków, przyjemnie jest słuchać, jak tym Polakom nie szczędzą najgorszych epitetów. A przecież nie mogą się skarżyć na niemożność rozmawiania po polsku. Jest ich tu dwa tysiące, spotykają się, znają. Jednak ktoby się śmiał zapytać, czy też istnieje lub istniała czytelnia polska, naraziłby się na miano waryata, albo lekko bzikowatego marzyciela. A przecież w Niemczech znam miasta, gdzie sześciu lub pięciu polaków utrzymuje czytelnię i szczęśliwi są, że po polsku zapomnieć nie muszą. Takie rzeczy należy piętnować publicznie, bo to jest nasz wstyd i nasza hańba, której nie mamy prawa połykać w milczeniu i nadstawiać drugi policzek do uderzenia. Tacy polacy, to zakała, z takich panów można i trzeba zdzierać ich maskę obskurną.

Doprawdy, z obrzydzeniem odwracam się od tych naszych ziomków, którzy i tu nie zaniedbują dzielnie niemczyć ludność i urągać dowoli na niewdzięczną Polskę, aby przejść dalej do dokończenia niniejszych notat. Państwo austryackie pobudowało w Bośni oprócz kolei i szos jeszcze parę fabryk, hut, urządziło parę kopalń, założyło szkoły, podniosło handel i przemysł, więc w ogóle zaznaczyło wyraźnie swoją działalność cywilizacyjną. Szkoda tylko, że na każdym dobrym uczynku wyciśniętem jest wyraźnie piętno zaborcze i zgoła nic humanitarne... Austryacy tu nawet mówią głośno, że „co tam Bośnia ma być swobodną, albo choć trochę swobodną, niech będzie szczęśliwą, że Austrya raczyła przyłączyć ją do siebie!“ To jest już czysty patryotyzm austryacki!... Bośnia i Hercogowina — to same góry. Naród tu wzrosły od dziecka bez tych gór swoich żyć by nie mógł. Ponieważ lokomocya przez to jest w wysokim stopniu utrudnioną, wynaleźli sposób i na to. Mają tu wielką ilość koników, nie większych czasem od wielkiej dogi, albo psa bernardyńskiego, chudych, zbiedzonych, istne szkielety... Na te koniki ładują całe góry drzewa, siana, pakunków i wio! Nie widziałem dotąd, prócz wielbładów, wytrzymalszych stworzeń nad te zwierzęta... Są one tu prawdziwem dobrodziejstwem i niewiadomo doprawdy, coby bośniak bez nich począł.

Już z właściwości swych geologicznych odróżnia się Bośnia od Hercogowiny. Podczas gdy Bośnia to góry pokryte lasem, często ogromnym i bogatym, Hercogowina — to same skały, kamienie, wapień i granit. W Bośni rodzi się dosyć zboża, w Hercogowinie jest masa trzód kóz i baranów; Bośnia obfituje w drzewo, — Hercogowina w kamieniołomy i t. p. W obu zaś krajach rodzi się dosyć kukurydzy, melonów, arbuzów i fig. Naród je masę mięsa i nie żałuje sobie pożywienia, wielkie to przeciwieństwo w stosunku do naszych polskich wieśniaków, widzących mięso nieledwie parę razy do roku...

Ogólnie, jak wspomniałem, lud jest rosły, silny i wytrzymały... Niewiadomo jednak, dlaczego daje się tu zauważyć mnóstwo kalek, — garbatych, ułomnych, niewidomych etc. Sprawia to wrażenie bardzo przykre.

Kobiety nie są tu ładne. Owszem, powiedziałbym nawet, że brzydkie, gdyby nie to, że każda z nich jest miłą i wesołą. Typu południowego nie mają najmniejszego, wszystko to blondynki, białe, dość mdłe nawet i wcale nie płonące ogniem namiętnym włoszek... Obyczajność tu jest stosunkowo dość dużą; rodzice surowo strzegą swych dzieci i trzymają je w silnej kurateli. Poczucia muzykalnego nie mają bośniacy. Ich muzyka jest niesforną kakofonią bez myśli i poezyi. Z narodowych tańców mają t. zw. „koło,“ bardzo prymitywne i dziwnie nieładne. W ogóle, co się tyczy duszy i serca bośniaka, jest on kompletnym prozaikiem i realistą. Nie wzrusza go nic prawie, a przynajmniej mało bardzo. Niema on tej smętnej poezyi i zadumy, co słowianie północni, niema tego ognia palącego, co narody wschodnie, nie jest materyałem na romantycznego rycerza, ani na nieszczęśliwego kochanka, tak jak jego dziewoja nie mogła by dumać i wzdychać za ukochanym, owszem, przejęli od turków ten niewzruszony i martwy spokój, lenistwo, ociężałość i ciężkość... Bośniak czuje się szczęśliwym, gdy może podjeść sobie dobrze, a potem usiadłszy po turecku w kuczki, zaćmić lulkę lub papierosa i oddać się rozmyślaniom o... niczem. Może nie od rzeczy będzie wspomnieć, że palenie tytoniu jest tu bardzo rozwiniętem. Palą wszyscy: mężczyźni, kobiety, nawet dzieci dwunastoletnie. Czy to jest zdrowem, kwestya. Mają zaś dobry tytoń, własny, bośniacki. Sprzedaż tytoni zostaje, jak w całej Austryi zresztą, pod wyłącznym monopolem państwa. Tytoń jest tani i bardzo dobry. Bośnia i Hercogowina plantują go bardzo dużo i przemysł ten jest jednym z główniejszych tutaj. Dużo również idzie na eksport. — Fabryk tabacznych istnieje kilka: w Sarajewie, w Trawniku, Mostarze, Banjaluce i t. d. Owoce, pomimo obfitości, są stosunkowo drogie. Hercegowina posiada również dobre winnice. Wino najlepsze mostarskie. Będąc na wystawie w Budapeszcie miałem sposobność zwiedzić tam pawilon bośniacki. Nic to jednak nie jest w obec kraju samego, — pięknego i ciekawego. Bośnia i Hercogowina są bardzo mało zaludnione. Można tu iść czasami godzinę lub dwie i trzy, nim się trafi na wioskę jakąś. Miast tu tak dobrze, jak niema: małe, nędzne, prymitywne. Zwiedzić jednak warto, każde bez wyjątku, gdyż każde jest zbiorowiskiem tylu piękności i oryginalności, o jakich nie codzień się słyszy.

Z głównych miast Bośni największe są: Sarajewo, stolica, Dolnja Tuzla, przemysłowe miasto, z kopalniami węgla, Banjaluka i Trawnik. Hercogowina posiada jedno prawdziwe miasto, stolicę swoją — Mostar.

Sarajewo, ongi zwące się Bosna-Seraj, co znaczy Bosna-raj, jest miastem teraz napół europejskiem i na pół tureckiem. Z każdym rokiem przybywa więcej gmachów, ogromnych, pięknych, budowanych według najnowszych wymagań techniki współczesnej. I to bynajmniej turystę nie pociąga. Miasto przez to zatraca swój charakter wschodni, na wskroś inny i oryginalny, a staje się kosmopolitycznem, jednem z setek.. Półtora roku temu Sarajewo dostało tramwaj elektryczny i oświetlenie elektryczne. Leży w górach romantycznych, otoczone niemi, ze szczytu gór śliczny widok na panoramę miasta. Na szczycie jednej z nich sterczy jeszcze zachowany dobrze, a obecnie za koszary służący kastel turecki. W Sarajewie jest siedlisko władz krajowych i zarządu kolei, tam rezydują wszyscy urzędnicy i wojskowi, jest to serce Bośni i jej chluba. Gdy wyjdziesz wieczorem, w księżycową noc, tak jak ja to miałem sposobność uczynić, i rzucisz okiem na ten gród rozległy, leżący leniwie nad niewielką rzeką i opasujący ją z obu stron długiemi ramionami swemi, gdy miasto już usypia, a zdaleka tylko świecą się niezliczone kramy przekupniów tureckich i ich mnogie kawiarnie, gdy wszędy naokoło siebie widzisz niezliczone minarety świątyń tureckich, których tu jest trzysta

a z każdej takiej smukłej wieżyczki usłyszysz jękliwy głos muezzina, nawołujący do wieczornej modlitwy i ablucyi, gdy te głosy, pomieszawszy się z sobą, wzbiją się w przestrzeń powietrzną i wibrując naokoło, zdają się błagać potężnego Allaha o miłosierdzie nad ludem wybranym, wtedy zapomnisz, że znajdujesz się w tak blizkiem, brutalnem zetknięciu z cywilizacyą niewiernych i zda ci się, żeś gdzieś, o setki lat cofnięty, marzysz w grodzie niedotykalnym, w grodzie, gdzie żadna ręka świetokradzka niepoważy się zedrzeć zasłony z tajemnić muzułmańskich... Ale wrażenie znika prędko... Gdzieś, obok ciebie, rozległ się zgrzytliwy, głośny śmiech żołdaka austryackiego i wtedy budzisz się dla rzeczywistości, by wspomnieć, że tu już teraz inaczej zupełnie, inaczej...

W Sarajewie jest jedna jedyna w swoim rodzaju dzielnica. To bazar turecki. Gwar, chaos, zamięszanie, targi, jaskrawe i kolory, wschodnie twarze i ubiory, fezy i turbany. I znowu na chwilę złudzenie, że to nie Bośnia teraźniejsza, że to co innego... Pryska złudzenie... Trawnik jest miastem małem. Cicho tam i zacisznie. Są ruiny zamku tureckiego, jest brama jeszcze, na której sułtan powiesił trzydziestu baszów swoich, jest loch, w którym gnili więźniowie... Teraz za tradycyę starczy stary turek, który żądnym wrażeń to wszystko opowie...

I już zbliżamy się do końca Bośni, potem parę stacyi jeszcze i już Mostar, stolica Hercogowiny. Tu wszystko jeszcze prawie nietknięte... Domy kamienne, tureckie, ulice wązkie i długie, naokoło, gdzie okiem rzucisz, góry kamienne, ogromne, majestatyczne, groźne... Przez miasto biegnie, w kamiennem łożysku Narrenta, by wtoczyć potem swe zielonawe wody do modrych fal Adryatyku... Pięknie tu i zacisznie... Słońce, — palące, gorące, — płomienne, odurza i osłabia, próżno szukasz chłodu i cienia, — jak okiem sięgniesz, — wszędzie błyszczy ono — oślepiające i nieubłagane...

Mostar teraz, jak i Sarajewo, jest siedliskiem władz tutejszych. O ile jednak tamto przeinacza się i odmienia, o tyle to pozostaje po dawnemu niezmienionem... Jak długo to potrwa?...

Z uczuciem żalu i sympatyi opuszczam Bośnię i Herzogowinę. Niewiem, czy mnie losy tu kiedy zagnają jeszcze... W każdym razie, — czy na złe, czy na dobre, — zivio Bosna! i daj Boże, byś kiedyś powstała silna i zdrowa i odzyskała tę swobodę, która jest skarbem narodów, a którą ci przed wiekami tak brutalnie zabrano!

Jan Augustynowicz.

TO I OWO.

List bojkotowanego historyka.

Od p. K a ź m i e r z a W a l i s z e w s k i e g o otrzymała redakcya »Kraju« petersburskiego list następujący:

Szanowny Redaktorze!

W szwajcarskich górach, gdzie »Aar wody błękitnemi spada«, dochodzi mnie zeszyt »Kraju« z ustępem zajmujących »Uwag historycznych« d-ra Łunińskiego, który, mimo niektórych tropiących szczegółów, jako to: zaliczenia między »najznaczniejszych historyków polskich«, zdaje mi się, że mnie dotyczy. Być może, że mylę się; nie jestem bowiem wymieniony z nazwiska; świeżo zaś w artykule »Kraju«, wyliczającym kilkunastu polaków, uprawiających literaturę francuzką, »najpoważniejszego« między nimi pana de Wyzewa (który się wcale za polaka nie ma), nazwiska mojego nie znalazłem; zkąd wniosek dla mnie, że nawet polscy »Kraju« współpracownicy o mnie nie wiedzą. Że jednak ja znowu nie wiem o drugim polaku, któryby świeżo wydał po francuzku dwutomowe dzieło historycznej treści, więc, mimo zbyt pochlebnych orzeczeń d-ra Łunińskiego, upoważnionym się czuję do wniosku, że mnie w rzeczy samej ma on na myśli. Otóż mogę oczywiście tylko być wdzięcznym za tę prawie, że pierwszą n i e ł a j ą c ą mnie wzmiankę, z jaką spotykam się w polskiej prasie po dwudziestu latach mozolnej pracy (na niwie polskiej literatury i historyi przez lat szesnaście). Mógłbym jednak wdzięczność swoją osobiście wyrazić d-rowi Łunińskiemu, nie zaprzątając swoją osobą osób trzecich. Ale dr. Łuniński wspomina o bezimiennym historyku, że, »zniechęcony obojętnością lub uprzedzeniem krytyków, na czworakach pełzających«, wziął się do pisania po francuzku. To znowu zdaje mi się wymagać odemnie sprostowania, obciąża mnie bowiem zarzutem małoduszności, do której się nie poczuwam. Że zaś i zkądinąd nagabywany byłem o to, dlaczego od lat kilku nie piszę po polsku i o polskiej historyi, może uznasz za stosowne, szanowny redaktorze, abym przy sposobności do podziękowań moich dla d-ra Łunińskiego dołączył dla kilku innych rodaków, których to obchodzić może, krótkie usprawiedliwiające objaśnienie w tym przedmiocie.

Nie zniechęciłem się i nie uległem niechęci n i e d o j r z a ł y c h krytyków. Poddałem się formalnemu wyrokowi formalnego areopagu historyków polskich najdojrzalszych i najprzedniejszych, którzy mnie odsądzili najformalniej od prawa zajmowania się polską historyą. Wyrok ten zapadł na ostatnim historycznym kongresie we Lwowie. Zaprosiwszy mnie do udziału w pracach tego zebrania i przyjąwszy obrany przezemnie t e m a t referatu, komitet kongresowy odrzucił następnie mój referat, jako nie posiadający odpowiednich kwalifikacyi naukowych. Jednocześnie, skutkiem innej pracy mojej, ogłoszonej w »kwartalniku Historycznym«, pismo to otrzymało surową naganę od profesora Bobrzyńskiego w imieniu historyków krakowskich, za drukowanie prac, dostarczanych przez pismaków niekwalifikowanych, której to naganie, ogłoszonej w »Przeglądzie Polskim«, poddając się ze swojej strony, »Kwartalnik« wymówił mi dalsze współpracownictwo. Nawet od prawa repliki odsądzony zostałem. Nakoniec miałem powód przypuszczać, że i sama Akademia krakowska kontrasygnowała wyrok wyżej wspomniany. Zrywając bowiem samowładnie układ, zawarty ze mną, w jej imieniu, przez byłego jej sekretarza, śp. Szujskiego, taż Akademia zawiesiła o d l a t k i l k u n a s t u druk drugiej połowy moich S o b i e s c i a n ó w, którym poświęciłem najlepsze lata mojej młodości, krzywdząc mnie tym sposobem i moralnie i materyalnie nawet. Nawet do przyznanego mi dawniej tytułu »członka komisyi historycznej« przy tejże Akademii straciłem podobno prawo; nadsyłanie mi bowiem wydawnictw historycznych, do tego tytułu należące, zawieszonem także zostało. Raz tylko, nowomianowany delegat Akademii przy stacyi naukowej paryzkiej, dr. Korzeniowski, dostarczył mi — Bóg mu zapłać — ryczałtowy zbiór tych drogocennych.

Oto pobudki, które mną kierowały. Zechciej zaś, szanowny redaktorze, i niech czytelnicy twoi zechcą nie brać bynajmniej wyrazu tych pobudek za skargę lub protest. Nie skarżę się i nie protestuję. Tylko ponieważ jestem przekonany, że nie potrafię nigdy napisać nic lepszego po polsku i o polskiej historyi, jak ów referat, dla kongresu lwowskiego przeznaczony; z drugiej zaś strony siedzieć z założonemi rękami nie potrafiłbym także, dla tej podwójnej racyi spróbowałem, czy w innym języku i w innym kierunku poszukiwań historycznych nie uda mi się lepiej. A że mi się udało, z powodu zapewne mniejszych wymagań nauki i krytyki historycznej w innych krajach, więc dalej ciągnę. W to jednak, znając mnie, uwierzysz, a może i czytelnicy twoi, choć nie znając mnie, uwierzą, że oddałbym chętnie trzynaście francuzkich i nie pamiętam ile angielskich wydań mojej ostatniej książki za dwieście bodaj egzemplarzy polskiego dzieła z moim podpisem, o których miałbym pewność, że nie zgniją na pułkach księgarskich i nie ściągną na mnie nowego dowodu surowości krakowskich czy lwowskich trybunałów.

* *

Zmiana w redakcyi „Bluszczu“.

Pani Marya Ilnicka, od lat trzydziestu kierując redakcyą »Bluszczu«, z końcem sierpnia złożyła ten obowiązek. Oddając należną sprawiedliwość dobrej wierze, dobrej woli i staranności o literacką stronę pisma, musimy zgodnie z naszem przekonaniem, zaznaczyć, iż oddawna stało ono w zasadniczej sprzeczności ze stanowiskiem, jakie współczesna kobieta w społeczeństwie, nauce, literaturze i sztuce zajęła. Zamykanie się przed poglądami, które życie i jego wymogi wyłaniają, bierna opozycya przeciwko ruchowi kobiecemu nawet w tem, cō stanowiło naturalną potrzebę czasu, zupełne pomijanie tego, co nie odpowiada jakiejś wymarzonej dziedzinie niewieściego ducha — czyniło »Bluszcz« pod redakcyą p. Ilnickiej pismem coraz mniej odpowiedniem dla współczesnego pokolenia kobiet. Dalecy jesteśmy od bezwzględnej krytyki, wiemy, że aspiracye b. redaktorki płynęły z najszlachetniejszych źródeł, ale pogląd zasadniczy przeprowadzony w »Bluszczu«: iż kobieta powinna się ograniczyć do domowego ogniska, nie odpowiada już dzisiejszym stosunkom i nie da się utrzymać w piśmiennictwie, które musi nowe teorye i poglądy śmiało rozbierać, dobrą ich stronę adoptować, przeciwko błędom walczyć. Unikając ruchu, nie przyjmując udziału w starciu zdań, »Bluszcz« ostatecznie tylko drogą praktyczną — wzorami mód — wiązał się z życiem bieżącem. Banalne powieści, wysmarzone pogadanki, rozwlekłe przeglądy teatralne — zapełniały niemal wyłącznie szpalty pisma, którego stanowisko z szyderczem przezwiskiem »anielskiego organu« z roku na rok musiało maleć. Kto obejmie po p. Ilnickiej redakcyę »Bluszczu«, nie wiemy, ale że będzie musiał starać się o ożywienie pisma, to już dziś chyba nie ulega zaprzeczeniu. Najwięksi nawet zwolennicy tego kierunku, jakiemu »Bluszcz« hołdował, zgadzają się, iż trzeba wprowadzić do jego łamów nieco nowych sił, nadać treści więcej różnobarwności i ożywienia, jeśli nie ma ono stracić autorytetu nawet w tych kołach, które je dotąd popierały stale.

. . . .

NA WYŁOMIE.

(W sprawie ks. Stojałowskiego).

Odczytano zatem z ambon kościelnych ekskomunikę rzuconą na ks. Stojałowskiego. Lata całe walk politycznych, lata całe wielkiej miłości i wielkiej nienawiści, lata całe kar dyscyplinarnych, lata więzienia, wreszcie klątwa, — tak upływało życie temu, który silniej może, niż ktokolwiek, w ostatniem dzie-

sięcioleciu bytu naszego wstrząsnął stosunkami galicyjskiemi, zbudowawszy sobie tarany społeczne z fałszu i prawdy, z egoizmu i miłości ludu, z ambitnej rachuby i poświęcenia. Dziwna mięszanina uczuć i dążeń! W tej silnej indywidualności politycznej wszystko tak się plącze, — najwznioślejsze porywy i poziome instynkty — że trudno ją pomieścić w zwykłych szufladkach psychologicznych, a ci, którzy jednem słowem rozcinają węzeł gordyjski, w jednem szablonowem pojęciu widzą portret wyklętego kapłana, jednem Ukrzyżuj! lub »Błogosławiony« pieczętują wyrok, ci wszyscy równają się owym pół-ślepcom, których oko barw nie rozróżnia, — owym fanatykom ideowym, którzy w zwolennikach własnego dogmatu widzą tylko jasność, w najlżejszym kontraście tylko cień ponury.

Rzucona klątwa! Czy ten grom, co w wiekach średnich najwyższe potęgi druzgotał, dziś jeszcze nie stracił swej posępnej siły? Czy ks. Stojałowski to żywy nieboszczyk? Z tapczanu więziennego słychać harde słowa:

»Jestem dziś gotów, — mówi w broszurze swojej kapłan wyklęty — odwołać każdą nieprawdę, jeżelim ją nieświadomie napisał lub cokolwiekby się sprzeciwiało nauce kościoła. Jestem gotów każdej chwili wykonać to, co mi prawowita zwierzchność kościelna, tj. mój biskup lub papież, w rzeczach »kościelnych« rozkażą. Ale rozkazu, abym zaprzestał wydawania pism lub działalności politycznej, rozkazu, wychodzącego od lwowskiego i krakowskiego biskupa, którzy od lat ośmiu najobrzydliwszemi, wprost niegodziwemi środkami gwałtu, niesprawiedliwości, oszczerstw i fałszywych oskarżeń do tego mnie zmuszają, n i e u s ł u c h a m n i g d y! Wydrzeć bowiem sobie pisma i usunąć siebie z pola działalności, zroszonego moją pracą i krwią, dla korzyści stańczyków n i e d a m n i k o m u — n a w e t p a p i e ż o w i, bo i papież owoców dwudziesto-kilkoletniej pracy, której szkodliwości dla kościoła i wiary nikt mi dotychczas nie udowodnił, odebrać mi nie może, i ja wiem, że nie chce i nie zechce.«

Tak mówi dziś jeszcze ten, którego »śmierć cywilna« uchodziła za fakt dokonany. Niektóre pisma wyrażają przekonanie, że siła opinii publicznej w katolickiem społeczeństwie skruszy ostatecznie hardego buntownika, — trudno jednak zamykać oczy na dość silny prąd opozycyjny, psujący jednolitość tej opinii, która zdusić ma wyklętego. Nietylko pisma sympatyzujące stale z politycznem działaniem ks. Stojałowskiego, lecz nawet kilka takich organów prasy galicyjskiej, które jak »Kuryer Lwowski« i »Przegląd Wszechpolski« otwartą i zaciętą toczyły z nim wojnę, dziś stoją po stronie ekskomunikowego kapłana i bronią »politycznej ofiary«. Uderzać musi i to, że »Kraj« petersburski, zdecydowany przeciwnik ruchów demokratycznych, ma jakieś lekkie tony współczucia dla ks. Stojałowskiego. Klucza zagadki nie szukam daleko. Myli się ten, kto kwestyę rozstrzyga ulubionem u nas okrzykiem »Masoni!« — kto przyczynę tej »sympatyi« upatruje w zasadniczem przeciwieństwie do kościoła i Rzymu.

Wystarcza pół łuta objektywizmu, by zrozumieć dobrze, że kościołowi przysługuje prawo ukarania księdza, który w sprawach rytualnych, ściśle kościelnych lub religijnych drwi sobie z przykazań hirarchii i, jak ks. Stojałowski, odprawia podobno msze »świętokradzkie«, — lecz wystarcza również najpowierzchowniejsza analiza klątwy rzuconej, by pojąć natychmiast, że ręką grom rzucającą kierowały, obok motywów religijnych, świeckie pobudki, — że na wyklętym kapłanie mszczą się nietylko obrażeni stróże katolickiego kościoła, lecz w równej mierze politycy, przerażeni ruchem demokratycznym, któremu ks. Stojałowski jest ożywczem tchnieniem. Nie twierdzimy bynajmniej, by klątwa rzucona na redaktora »Wieńca« i »Pszczółki« sprzeciwiała się formalnym przepisom, — przypuszczamy raczej, że protest ks. Stojałowskiego w tym kierunku jest szeregiem adwokackich solizmatów, — gdy jednak czytamy w dokumencie klątwy, że »nadchodziły bardzo poważne pisma do Jego Świątobliwości Leona XIII« z żądaniem, aby kres położono działalności duchownego demagoga, autora »artykułów podburzających« i nauk »wiodących do przewrotu«, — gdy nadto uwględnimy, jak rozszalałą nienawiścią ścigały ks. Stojałowskiego stronnictwa rządowe, i jaką rolę w polityce galicyjskiej odgrywają biskupi, to trudno oprzeć się wrażeniu, że obok uzasadnionej kary kościelnej na niesfornym kapłanie, dokonano tu zemsty politycznej na niebezpiecznym działaczu demagogii. I oto źródło sympatyi, budzącej się około ks. Stojałowskiego, oto przyczyna niezachwianego przywiązania tysięcy ludu katolickiego, który odepchnąłby niewątpliwie wyklętego gwałciciela religii, lecz całuje ręce politycznego skazańca, ściganego jak zwierz po kniei ludowca. Ten przysmak polityczny mąci pojęcia. Lud z a p o m i n a o r e l i g i j n y c h w i n a c h k a p ł a n a i widzi t y l k o ofiarę polityki.

A prasa? Niechaj nikt nie sądzi, by te czasopisma, które wczoraj potępiały ks. Stojałowskiego a dzisiaj kopje zań kruszą, działały jedynie, jak ktoś powiedział, przez wrodzony »wstręt do Rzymu« lub »współczucie dla nieszczęśliwych«. One broniąc wyklętego kapłana, bronią także siebie, bo któż przewidzieć może, czy nie spodoba się jutro biskupom użyć wpływów kościoła dla zdeptania ich własnych wierzeń politycznych, — któż nie wie, że z galicyjskim ruchem ludowym ambona walczy stale i zawzięcie. Stanowisko »Kuryera Lwowskiego« i »Przeglądu Wszechpolskiego« w sprawie zuchwałego kapłana, to protest przeciw nadużywaniu kościoła do politycznych celów.

Przekonany jestem, że po przeczytaniu powyższego wyjaśnienia sprawy, nasz organ lojalno-klerykalny zapieni się starym zwyczajem. Proszę! bez ceremonii! Trzeźwo myśląca publiczność przyzwyczaiła się już do tego, że dla Kuryera wrogiem kościoła jest każdy, kto przed dekalogiem politycznym »ładu i porządku« nie uchyli czoła i ócz nie zamknie na frymarkę religii w tej dużej bibule. Ta sama trzeźwo myśląca publiczność zrozumie także, że można potępiać »świętokradztwo« ks. Stojałowskiego, można uznawać władzę watykanu, a równocześnie skarżyć się na to, że w gromach bijących w głowę wyklętego kapłana słychać wyraźne dźwięki politycznych spekulacyi.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* K o n k u r s. Redakcya „Małego Światka“ rozpisuje konkurs na powiastkę dla młodzieży, osnutą na tle społecznem. Powiastka ta ma obejmować dwa arkusze druku. Tendencya wybitnie społeczna, a wpływająca na uszlachetnienie i urobienie charakterów, barwny a przystępny dla młodocianego wieku sposób opowiadania i czystość języka, oto główne warunki pracy konkursowej.

Praca uznana za najlepszą, otrzyma nagrodę w kwocie 100 koron w. a.

Inne prace czyniące zadość wymienionym warunkom, ale nie dorównywające nagrodzonemu utworowi, nabędzie Redakcya chętnie na własność, po poprzednim porozumieniu się z ich autorami.

Autorowie zamierzający wziąć udział w konkursie, zechcą swe prace nadesłać do Redakcyi „Małego Światka“ najdalej do 20. listopada 1896 r. Na utworze należy umieścić, zamiast podpisu, godło i tem samem godłem zaopatrzyć zapieczętowaną kopertę, kryjącą kartkę z nazwiskiem autora. Kopertę dołączoną do pracy, której przypadnie główna nagroda, otworzy sąd konkursowy zaraz po zapadnięciu wyroku. Po ogłoszeniu wyroku konkursowego, będą mogli autorowie prac nie odznaczonych odebrać je z redakcyi „Małego Światka“.

* * *

* W y s z e d ł nr. 17. „Gazety Handlowo-Geograficznej,“ organu Polskiego Towarzystwa handlowo-geograficznego, i zawiera następujące artykuły.

Język polski za Oceanem. — Herva Mate. — Emigracya przez Gennę. — Emigracya francuska, Komitet dupleix. — Gospodarstwo, przemysł i handel. — Emigracya i kolonizacya. — Wiadomości geograficzne. — Informacye. — Sprawy Towarzystwa handlowo-geograficznego we Lwowie. — Nadesłane. — Od administracyi. — Od Redakcyi. — Ogłoszenia. —

KRONIKA POWSZECHNA.

— Redaktor pisma naszego, p. dr. Władysław Rabski, wyjechał na 3 tygodnie. Rękopisy i listy prosimy przesyłać do biura redakcyjnego.

— **Teatr i muzyka.** Na cześć p. Edmunda Rygiera, nowego dyrektora sceny poznańskiej, urządzili artyści krakowscy ucztę pożegnalną. — Dyrekcyę teatru Stanisławowskiego objął Jan Recki. — W Berlinie ukończono budowę nowego teatru p. t. „Theater des Westens.“ Gmach ten jest dziełem znanego architekta Bernharda Sehringa i odznacza się prawdziwie artystycznem wykończeniem oraz oryginalnością pomysłów. Wkrótce zamieścimy dokładny opis wspaniałego przybytku sztuki. — Na wezwanie dyrekcyi teatrów warszawskich przetłomaczył p. M. Gawalewicz pięcioaktowy dramat Wiktoryna Sardou p. t. Ghismonda i trzyaktowa krotochwilę Franciszka Schönthana p. t. Hrabina Oczko (Comtesse Guckerl). — Na tle stosunków rzemieślniczych napisał p. Józef Schlader sztukę w 4 aktach ze śpiewami p. t. „Przez gorzałkę“. Rzecz ta przedstawioną jeszcze będzie w bieżącym sezonie w teatrze łódzkim, bawiącym na gościnnych występach w Warszawie. — Dyrekcyę teatru lubelskiego objął p. Zygmunt Przybylski. Finansowych podstaw przedsiębiorstwa dostarczył podobno hr. Tyszkiewicz. Wydział ról bohaterskich objęła pani Federowiczowa.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **W. A.** Uwagi Pańskie są słuszne. Udzieliśmy odnośnych wskazówek korektorowi.

— **Bez podpisu** (stempel pocztowy „Gniezno“). Dziękujemy za łaskawie nadesłany artykuł. Uważamy jednak polemikę z „Lechem“ gnieźnieńskim na razie za skończoną i dla tego nadesłanej pracy, mimo doskonałej treści i formy, zamieścić nie możemy. Zresztą zdaje nam się, że informacye Pańskie co do ewolucyi politycznej tego pisemka są niedokładne. W przyszłym kwartale zamieścimy obszerną charakterystykę wszystkich organów i organków „ładu i porządku.“ Wtedy wyjaśnimy różne zakulisowe tajniki tego ruchu dziennikarskiego, którym operuje obecnie konserwatyzm poznański.

Iskierka. „Bociany“ to dalszy ciąg ś. p. „Pokraki;“ wydawca i redaktor się nie zmienił. To chyba wystarczy dla charakterystyki pisma.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28